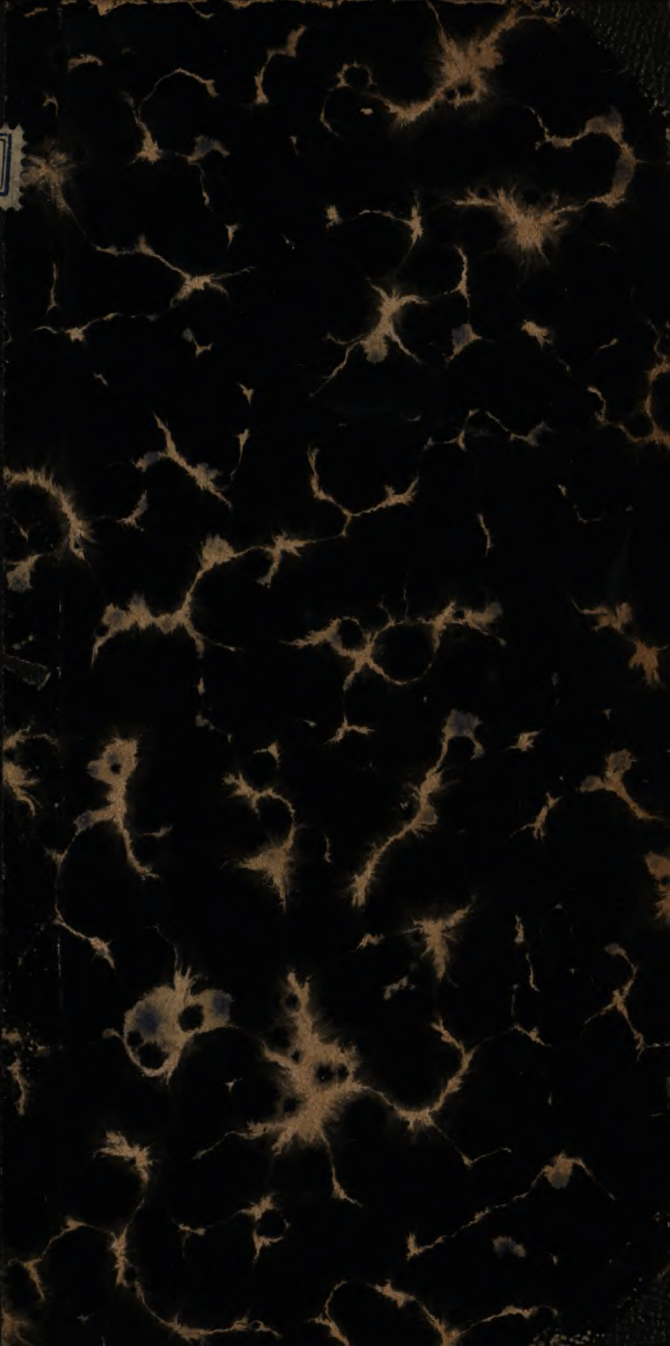


6.



MILCZENIE

I INNE NOWELE

000036

L. ANDREJEW



MILCZENIE I INNE NOWELE

TEŁMACZYLI Z ROSYJSKIEGO

HENRYK I JAN ZBIERZCHOWSKI



Andrzejewski

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1904



I-30.409

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

<http://rcin.org.pl>

MILCZENIE

I.

W pewną noc księżycową, gdy słowiki śpiewały, do gabinetu o. Ignacego weszła jego żona. Na twarzy jej rysowało się widoczne cierpienie, a maleńka lampka drżała w jej rękach. Podeszła do męża i dotknąwszy się jego ramienia, wyrzekła przez łzy:

— Ojciec, chodźmy do Wieroczki!

Nie odwracając głowy, o. Ignacy pochylił się, z podelbą z poza okularów spojrział na żonę i patrzył w ten sposób długo i przenikliwie, póki ta nie machnęła ręką i nie opadła na niziutką kanapę.

— Jacy wy oboje... bez serca, bez litości! — wyrzekła wolno, z silnym akcentem na ostatnich zgłoskach, a pocziwą, tłustą twarz jej skaził grymas bólu i serdecznego wyrzutu, jak gdyby tą miną chciała tem dobitniej określić nieuczciwość i tyranie męża i córki.

O. Ignacy uśmiechnął się i wstał z fotelu. Zamknąwszy książkę, zdjął okulary, schował je do futerału i zamyślił się. Duża czarna broda,

przyprószona gdzieniegdzie srebrną siwizną, le-
gła na jego rozrosłej piersi pięknem zgięciem,
i podnosiła się miarowo od głębokiego oddechu.

— No, chodźmy! — powiedział łaskawie.

Olga Stepanówna zerwała się szybko z ka-
napy i głosem pełnym kornej prośby, wymó-
wiła:

— Tylko nie zlorzecz jej ojczel! Ty wiesz
przecież, jaka ona...

Pokój Wiery znajdował się w mezaninie,
a wązkie drewniane schody uginały się i stę-
kały pod ciężkimi krokami o. Ignacego. Wysoki
i barczysty, schylał głowę, by nie zawadzić
o pułap, i marszczył się nabożnie, ile razy białe
kaftaniczek żony musnął zlekka po jego twa-
rzy. Pewnym był, że nie wiele pożytku przy-
niesie jego rozmowa z Wierą.

— Wy czego chcecie? — spytała Wiera,
podnosząc ku oczom obnażoną po ramię rękę.
Druga jej ręka spoczywała na białej letniej koł-
drze i prawie nie odbijała od tego tła, taka była
biała, przezroczysta i zimna.

— Wieroczka... — zaczęła matka, ale za-
chłysnęła się przez łzy i zaraz umilkła.

— Dziecko! — mówił ojciec, usiłując nadać
dźwiękowi swego zazwyczaj surowego głosu,
miękkosć i czulość — Wieruś, powiedz nam, co
tobie jest?

Wiera milczała.

— Wieroczka, czyż my, matka twoja i ja, ojciec, czyż nie zasługujemy na twoje zaufanie? Czyż my nie kochamy ciebie? I czy masz tu kogo, ktoby ci był od nas bliższym? Zwierz się nam ze swojej troski i wierzaj mi, staremu, doświadczonemu, że zaraz ci to ulży. A i nam też. Spójrz tylko na matkę staruszkę, jak cierpi...

— Wieroczka!...

— I mnie... — w tem miejscu ostry głos ojca drgnął, jak gdyby się przelamał. — i mnie, czyż myślisz, lekko? Jak gdybym to ja nie wiedział, że cię jakieś nieszczęście pożera... ale jakie? I ja... ojciec twój, nie mam o tem wiedzieć? Czyż tak być powinno?

Wiera milczała. O. Ignacy szczególnie ostrożnym ruchem ręki pogładził brodę, jak gdyby bał się, że mimowoli palce jego wpiją się w nią, aby szarpać te aksamitne włosy, i ciągnął dalej:

— Wbrew naszej woli pojechałaś do Petersburga — czyż się ciebie wyrzekłem za to, ciebie marnotrawnej córki, czyż cię przekląłem nieposłuszną? Czy może ci pieniędzy nie posyłałem? Alboż, powiedz sama, nie byłem dla ciebie łaskawym? No, czegoż milczysz? Oto jest ten twój kochany Petersburg!

O. Ignacy zamilkł, a w wyobraźni przedstawiał sobie jakiś olbrzymi chaos granitów, straszny, pełen ukrytych niebezpieczeństw i obcych, obojętnych ludzi. I tam oto była jego Wiera,

bezdomna, słaba, i tam ją zgubili. Straszłą nieważnością zapalał ku temu niepojętemu miastu, a w duszy jego rodził się już złowrogi gniew na córkę, która tak uparcie milczy.

— Petersburg nie ma do tego nic — rzekła Wiera smutno i przymknęła oczy — a mnie nic nie jest. Ot, idźcie lepiej spać, bo już późno.

— Wieroczka! — wyjęknęła matka. — Córuchno, zwierz się mnie!

— Ach, mamol! — przerwała Wiera niecierpliwie.

O. Ignacy usiadł na krześle i zaśmiał się.

— Więc znowu nic, co? — spytał ironicznie.

— Ojczy — rzekła Wiera ostro, podnosząc się na pościeli — ty wiesz przecież, że ja kocham ciebie i matczkę. No... Tak tylko, smutno mi trochę, ale to przejdzie. Doprawdy, lepiej idźcie spać, bo i ja chcę spać. A jutro, albo kiedyś, pomówimy.

O. Ignacy wstał tak porywczo, że krzesłem uderzył o ścianę, potem wziął żonę za rękę.

— Chodź stara!

— Wieroczka!...

— Chodźże już mówię! — krzyknął o. Ignacy. — Jeśli ona o Bogu zapomniała, to cóż nam tu... Gdzież nam co poradzić?

Prawie przemocą wyprowadził żonę, a kiedy schodzili ze schodów, Olga Stepanówna, zwalniając kroku, szeptała ze złością:

— Toś ty popie zrobił ją taką. Od ciebie to, nieboże, przejęła tę manierę. Ty też odpowiesz za to. Ach, ja nieszczęśliwa...

I zapłakała, mrużąc często oczy, nie widząc stopni, i zstępując tak ciężko ze schodów, jak gdyby szła w przepaść, rozwierając się u jej stóp.

Od tego dnia o. Ignacy przestał odzywać się do córki, ale ona jak gdyby tego nie spostrzegła. Tak jak dawniej leżała u siebie w pokoju, albo chodziła po nim, jak po klatce i często, często ocierała dłońmi oczy, jak gdyby chciała je otrzeć z kurzu. Przygnębiona tym dwojgiem milczących ludzi matka, sama lubiąca żarty i śmiech, nie wiedziała już, jak ma postępować i co mówić.

Nieraz Wiera wychodziła na spacer. W tydzień po rozmowie wyszła pod wieczór, jak zwykle. Więcej jej żywej nie widzieli, gdyż tego samego wieczoru rzuciła się pod koła pociągu, który przeciął ją na pół. Grzebał ją sam o. Ignacy. Żony nie było w cerkwi, bo na wiadomość o śmierci Wiery została tkniętą paraliżem. Odjęło jej siłę w nogach, rękach i języku, i spoczywała nieruchomie w napółciemnym pokoju, a podczas tego, tuż obok jej okien, na dzwonnicy huczały dzwony. Słyszała, jak wszyscy wyszli z cerkwi, jak naprzeciw domu śpiewali djaczkowie, i usiłowała podnieść rękę, żeby

się przeżegnać, ale ręka odmówiła jej posłuszeństwa; chciała powiedzieć: żegnaj Wiera, ale język obracał się w ustach ciężki i sztywny. I poza jej była tak spokojna, że gdyby ktokolwiek spojrzal teraz na nią, pomyślałby zapewne, że odpoczywa lub też śpi. Tylko oczy jej były wpółotwarte. W cerkwi na pogrzebie było mnóstwo narodu, znajomych o. Ignacego i nieznanomych, a wszyscy zebrani patrzyli na trumnę Wiery, która zginęła śmiercią tak straszną, i usiłowali w ruchach i głosie o. Ignacego odnaleźć symptomy ciężkiego przygnębienia. Nie lubili oni o. Ignacego za jego surowość i za to, że był bezwzględny sędzią wobec spowiadających się, których rzadko kiedy rozgrzeszał, i dlatego wreszcie, że zachłanny i chciwy pop, korzystał z każdej sposobności, ażeby ściągać z parafianina wygórowane opłaty. Więc chętnie ujrzeliby go złamanym, przygnębnym i świadomym tego, iż po dwakroć sam jest winnym śmierci córki: jako ojciec tyran i niegodny kapłan, nie umiejący ustrzedz przed grzechem własnej krwi. I wszyscy parafianie kierowali spojrzenia w jego stronę, a on, czując za swemi plecami tyśiące spojrzeń, starał się bardziej jeszcze wyprostować te szerokie i tęgie bary, i myślał nie o umarłej córce, lecz o tem, by się nie poniżyć w ich oczach. Tak samo pelen powagi, wyprostowany jak sosna, przeszedł aż do cmentarza

i z powrotem. Tylko w drzwiach do pokoju żony plecy jego ugięły się nieco; lecz być może, że to była wina drzwi za niskich na jego wzrost. Wszedłszy nagle do światła z trudem tylko rozpoznał twarz żony, a kiedy ją już rozeznał, zadziwił go spokojny jej wyraz. Oczy nie były zalzawione i nie wyrażały ani gniewu, ani zgryzoty, patrzyły nieme i milczały ciężko, uparcie, tak jak i całe ciężkie, bezwładne ciało, wciśnięte w poduszki.

— No cóż, jakże się czujesz? — spytał o. Ignacy.

Ale usta pozostały nieme, milczały również i oczy. O. Ignacy położył rękę na czole; było zimne i wilgotne, a Olga Stepanówna nie objawiała niczem, iż uczuwa to dotknięcie. Gdy o. Ignacy zdjął rękę, zobaczył wpatrzoną w siebie parę oczu, głęboko osadzonych, szarych, wydających się prawie czarnymi od rozszerzonych źrenic, a nie malował się w nich ani gniew, ani żal lub smutek.

— No, to ja już sobie pójdę — powiedział o. Ignacy, którego ciało przeszedł dreszcz strachu.

Udał się do salonu, w którym panował zwykły porządek i ład, świadczący o skrupulatności gospodyni. Meble, odziane w białe płócienne płaszcze, podobne były do umarłych, ustrojonych w całuny. Na jednym z okien wisiała

druciana klatka, ale teraz była próżna, a drzwi-
czki jej stały otworem.

— Nastazyo! — krzyknął o. Ignacy, ale su-
rowy głos wydał mu się stanowczo nie na miej-
scu w tych cichych pokojach, zaraz po śmierci
dziecka.

— Naściu! — zawołał ciszej — gdzie ka-
narek?

Kucharka zapłakana tak bardzo, że nos jej
przybrał barwę ówikły i spuchł do niezwykłych
rozmiarów, odpowiedziała brutalnie:

— Ta wiadoma rzecz. Poleciał sobie.

— A ty go po co wypuściłaś? — o. Ignacy
ściągnął brwi.

Nastazyja rozplakała się i ocierając lzy koń-
cem perkalowej chusty, mówiła:

— Toć to przecie duszyczka panienki... Czyż
ją można było więzić?

Wówczas o. Ignacemu wydało się, że żółta,
wesola kanarzyca, śpiewająca zawsze z po-
chyloną główką, była istotnie duszą Wiery,
i gdyby ona nie odleciała, nie możnaby twier-
dzić stanowczo, że Wiera umarła. Więc jeszcze
bardziej rozgniewał się na kucharkę i krzy-
knął:

— Precz! — a gdy Nastazyja nie mogła tra-
fić odrazu do drzwi, dodał:

— Idyotko!

II.

Od dnia pogrzebu nastąpiła w malutkim domku cisza. A właściwie, nie była to cisza, bo cisza, to brak dźwięków, ale było to raczej milczenie, gdyż zdawało się, że ci, którzy milczeli, mogą mówić a nie chcą. Tak myślał o. Ignacy wchodząc do pokoju żony, gdzie spotykał zawsze jej spojrzenie tak ciężkie, jak gdyby całe powietrze przemieniło się w ołów i naciskało na mózg i plecy. To samo myślał także, przerzucając nuty córki, w których zda się zamarł jej głos, przeglądając jej książki, a wreszcie wpatrując się w jej duży olejny portret, który przywiozła ze sobą z Petersburga. Przy portrecie o. Ignacy trzymał się ściśle pewnego porządku: najpierw patrzył na policzek, na obrazie oświetlony, i wyobrażał sobie na nim pewne skaleczenie, znalezione na martwym policzku Wiery, skaleczenie, którego przyczyna pozostała dla niego zagadką: przecież, gdyby to pociąg uczynił, musiałby zmiażdżyć całą głowę, a ta u zmarłej Wiery pozostała całkiem nieuszkodzoną. Być może, że przy podnoszeniu trupa ktoś przypadkowo paznokciem zadrasnął jej oblicze.

Lecz myśleć o szczegółach śmierci Wiery było strasznie, więc o. Ignacy przerzucał wzrok ku oczom portretu. Oczy to były czarne, piękne,

o długich rzęsach, rzucających szare cienie; tem jaśniejszemi więc wydawały się białka, a oczy jej wyglądały przez to, jak gdyby oprawione w żalobną ramkę. Dziwny wyraz nadał im nieznaną, lecz niewątpliwie utalentowany artysta: jakby między spojrzeniem oczu na portrecie, a spojrzeniem widza legła cienka, subtelna błonka. Przypominało to nieco czarny wierzch fortepianu, na którym misterną warstwą osadza się kurz, łagodzący blysk polerowanego hebanu. A nadto, jakkolwiek o. Ignacy umieszczał portret, oczy te śledziły za nim nieodłącznie, ale nie mówiły nic — raczej milczały, lecz milczenie to było tak jasne, że dawało się prawie słyszeć. Stopniowo o. Ignacy zżył się z myślą, że słyszy milczenie.

Każdego poranku po mszy, o. Ignacy wchodził do salonu, obrzucał wzrokiem pustą klatkę i całe tak znajome urządzenie pokoju, potem usiadał w fotelu, zamykał oczy i słuchał, jak dom milczy. To było bardzo dziwne. Klatka milczała cicho i pieśczośliwie, a w milczeniu tem dawały się słyszeć smutek i łzy, oraz daleki, zamarły śmiech. Milczenie żony, zlagodzone przegrodą czterech ścian i sufitu, było uparte i ciężkie jak olów, a tak okropne, że w najskwarniejszy dzień letni robiło się o. Ignacemu zimno. Nieskończonem i głuchem jak grób, a zagadkowem jak śmierć, było milczenie córki.

Zdawało się, iż ono samo uczuwało ból dotkliwy, i chciałoby namiętnie skryształizować się w słowo, ale coś żywiołowego i silnego jak maszyna, trzymało je w nieruchomości i wyciągało jak drut. I oto, gdzieś na dalekim krańcu, zaczynał drut ów drgać i rodzić subtelny, żalospny dźwięk.

O. Ignacy ze strachem i radością łowił ten dźwięk w samym jego zarodku, i wsparty na rękach o poręczę fotelu, wyciągał głowę przed siebie i czekał, kiedy ten dźwięk dojdzie do jego słuchu. Ale dźwięk urywał się w połowie i konał.

— Głupstwa! — mówił o. Ignacy gniewnie i podnosił się z fotelu, zawsze jeszcze wyprostowany i nieugięty. Przez okno widział plac obłany słońcem, wybrukowany okrągłymi kamieniami, a naprzeciw kamienną linię długiej ściany chlewu bez okien. Na rogu stał fiakier, podobny z daleka do glinianej rzeźby, a o. Ignacy nie mógł pojąć, poco on tam wystawuje, kiedy w tych stronach całymi godzinami nie zjawiał się żaden przechodzień.

III.

Poza domem musiał o. Ignacy ciągle mówić. To ze służbą kościelną, to z parafianami przy wypełnianiu obowiązków kapłańskich, to znowu

ze znajomymi, u których grywał w preferansa; ale gdy wracał do domu, miał wrażenie, jak gdyby milczał cały dzień. Pochodziło to stąd, że z nikim nie mógł mówić o tem głównem, dla niego najważniejszym, nad czem rozmyślał każdej nocy: dlaczego umarła Wiera? O. Ignacy nie chciał zrozumieć, że teraz nie dowie się niczego. Co nocy — a wszystkie odtąd spędzał bezsennie — wyobrażał sobie tę chwilę, kiedy on i żona w głuchą północ stali przy łóżku Wiery, a on ją błagał: »Powiedz!«

I z chwilą, gdy we wspomnieniach dochodził już do tego słowa, dalsze zdarzenia wyobrażał sobie inaczej, niż było w rzeczywistości. Jego zamknięte oczy, które zachowały w swych głębiach żywy obraz tej nocy, widziały, jak Wiera podnosi się na swojej pościeli i jak zaczyna mówić... Ale co mówi? To słowo niewymówione, które mogło rozwiązać całą zagadkę, zdawało się być tak blizkiem, że gdyby oto tylko wyteńczyć słuch i zatrzymać na sekundę bicie serca, to się je napewne usłyszy, a przecież jest ono dalekiem nieskończenie, beznadziejnie. O. Ignacy wstawał z pościeli, wyciągał przed siebie ręce, złożone jak do modlitwy i prosił:

— Wiera!

A odpowiedzią mu było milczenie.

Pewnego razu pod wieczór, o. Ignacy wszedł do pokoju Olgi Stepanówny, której nie odwie-

dzał od tygodnia, siadł u wezglowia, i odwróciwszy się od jej przygnębiającego spojrzenia, rzekł:

— Matko! Ja chcę z tobą pomówić o Wieroczce. Czy mnie słuchasz?

Oczy milczały wciąż, a o. Ignacy przemówił tym surowym tonem, jakim mawiał zazwyczaj przy konfesyonale.

— Ja wiem dobrze, ty myślisz, że ja jestem winien śmierci Wiery. Ale powiedz, czyż ja ją mniej kochałem od ciebie? Ej, bo też ty dziwnie rozumujesz. Co prawda, byłem surowy... ale czyż to jej przeszkadzało robić, co tylko chciała? Zapomniawszy o godności ojca, zgiałem kornie szyję, gdy ona nie ulękła się mego przekleństwa i pojechała no... tam. Alboż to ty, ty stara, czyż ją mało prosiła i zaklęła ze łzami w oczach, póki ja nie kazałem ci zamilknąć? Czyż to ja ją urodziłem taką bez serca? Czyżem jej nie nauczał o Bogu, o miłości rodzicielskiej, o posłuszeństwie?

O. Ignacy spojrział zniechęca na twarz żony i odwrócił się.

Cóż ja mogłem poradzić, jeśli ona nie chciała się zwierzyć? I nakazywałem i błagałem. Cóż, może myślisz, że powinien był upaść na kolana przed dziewczynką i płakać, jak stara baba! Rozumu... choć kto wie, co to był za rozum w tej niedobrej, nieposłusznej córce...

O. Ignacy uderzył się kulakiem w kolano.

— Miłości w niej nie było, ot co! Zresztą, po co o mnie mówić, pewnie, przecie ja tyran... wyrodny ojciec... Ale ciebie czyż kochała, co?... Ciebie, któraś płakała gorzko i poniżała się?

O. Ignacy zaśmiał się głucho.

— Ko-cha-ła! To też zapewne dla naszej pociechy śmierć sobie wybrała taką. Na piasku, w błocie umarła... Jak suka, którą nogą w morde kopią...

Głos o. Ignacego zadźwięczał cicho i ochryple:

— Aż mi wstyd! Na ulicę wstyd pójść. Przed ołtarzem wstyd! Przed Bogiem! Taka niegodna, wyrodna córka! W grobie by cię przekląć należało...

Kiedy o. Ignacy spojrział znów na żonę, ta była bezprzytomną i dopiero w parę godzin później przyszła do siebie. Ale oczy jej znowu nie wyrażały nic, tylko milczały i trudno było poznać, czy pamięta o tem, co mówił o. Ignacy, czy też nie. Tej samej nocy — a była to czarowna noc letnia, podczas której śpiewają słowiki — o. Ignacy na palcach, ażeby nie usłyszała żona, albo zakonnica, wstępował na schody i wszedł do pokoju Wiery. Okien w tym pokoju nie otwierano ani razu od samej śmierci tej, co tu mieszkała, a powietrze było duszne i przesiąknięte zaduchem. Od całego otoczenia wiało czemś zanieczyszczeniem i blizkiem rozkładu. Księ-

życowa pościata długim kwadratem legła na podłodze i odbita od desek starannie obmytych i wyszurowanych, rzucała refleksy po kątach i oświetlała nieco białe, schludne łóżko z dwiema poduszkami, jedną większą i drugą maleńką. O. Ignacy otworzył okno, a do pokoju szeroką strugą wpłynęło czyste powietrze, niosąc za sobą woń kwitnącej lipy i chłód, świadczący o bliskości rzeki, na której teraz, zapewne z łódek, rozlegał się chóralny śpiew. Stąpając bez szelestu na bosych nogach, podobny do białego widma, o. Ignacy podszedł do próżnego łóżka, i zgiąwszy kolana, upadł twarzą na poduszki, obejmując je rękami w miejscu, w którem powinna się znajdować twarz Wiery. Długo tak leżał; pieśń rozbrzmiewała coraz to rogłośniej, a potem zamilkła; a on wciąż jeszcze leżał, tylko długie, ciemne włosy rozsypały się po plecach i pościeli.

Księżyc przesunął się i w pokoju zapanował prawie zupełny mrok, gdy o. Ignacy podniósł głowę i począł szeptać, wkładając w głos swój całą siłę długo ukrywanej i długo nieuświadomionej miłości i wsłuchując się w swoje słowa tak, jak gdyby to nie on słuchał, lecz Wiera.

— Córko moja, Wiera! Ty rozumiesz, co to znaczy: córka? córuchno! dziecino, krew moja, serce i życie moje. Twój stary... taki bardzo stary ojciec... już i siwiutki, już i słaby...

Przez plecy o. Ignacego przeszedł dreszcz, a cała ogromna postać zachwiała się. Tłumiąc lkanie, o. Ignacy szeptał tkliwie, jak do malutkiego dziecięcia:

— Starusieńki ojciec... prosi ciebie. Nie, Wieruchno, on błaga! Widzisz, on teraz płacze. A on nigdy jeszcze nie płakał. Twoje przygnębienie, twoja zgryzota — toż one i moje...

O. Ignacy poruszył głową.

— Zapewne, dziecino. Cóż mnie staremu, śmierć? Ale ty... Żebyś ty wiedziała, jaka ty delikatna i slabiutka! Pamiętasz, jak raz uklółaś się w paluszek i krew bryznęła, a ty zaplakałaś? Dzieciątko moje! Przecież ty mnie kochasz, bardzo kochasz, ja wiem. Co rana całujesz mnie w rękę. Powiedz, powiedz co dolega ci, za czem tęskni dusza twoja, a ja oto temi rękoma zduszę tę zgryzotę. A one jeszcze mocne, Wieruś, te ręce moje.

Włosy o. Ignacego rozwiały się w powietrzu.

— Powiedz!

O. Ignacy wlepił oczy w ścianę i wyciągnął ręce.

— Powiedz!

W pokoju było cicho, a tylko skądś z daleka doleciał przeciągły świst sygnałowy parostatku. O. Ignacy z szeroko roztwartymi oczyma, jak gdyby ujrzał przed sobą straszną mare, pod-

niósł się wolno z klęczek i niepewnym poruszeniem podniósł ku czołu ręce z palcami wyprostowanymi kurczowo. Odstąpiwszy ode drzwi, szepnął raz jeszcze rozpacznie:

Powiedz!

A odpowiedzią było mu milczenie.

IV.

Na drugi dzień, spożywszy wczesny i samotny obiad, o. Ignacy poszedł na cmentarz, pierwszy raz od śmierci dziecka.

Było tu parno, cicho i smutno, jakgdyby ten skwarny dzień był nocą, tylko bardzo jasną; z przyzwyczajenia o. Ignacy starannie wyprostowywał plecy, rozglądał się poważnie dookoła i myślał, że on jeszcze zawsze ten sam, co i dawniej; nie zwrócił nawet uwagi na nieznanne mu dotąd a straszne osłabienie w nogach, ani na to, że długa broda jego stała się tak białą, jak gdyby ją szron przyprószył. Droga do cmentarza wiodła długą, prostą ulicą, zlekka wzniesioną w górę, a na jej wylocie lśniła w słońcu arkada cmentarnej bramy, przypominająca rozwartą zawsze paszczę, otoczoną łukiem świecących, ostrych zębów.

Mogiła Wiery znajdowała się w głębi cmentarza, tam, gdzie już kończyły się ścieżki, wysy-

pane piaskiem; to też o. Ignacy musiał długo błądzić po wąziutkich drożynach, snujących się lamaną linią pomiędzy zielonymi pagórkami, zapomnianymi i zupełnie zaniedbanymi. Czasem napotykał w drodze pokrzywione, zzieleniałe od wilgoci pomniki i grobowce, połamane poręcze i duże, ciężkie kamienie, wrosłe w ziemię i z zaciętością przygniatające ją. O jeden z takich kamieni oparła się mogiła Wiery. Pokryta była świeżą, żółtą darniną, a naokoło niej zieleń się soczysta, młoda murawa. Jarzębina koralowa objęła wpół wysmukły klon, a rozsiadły szeroko krzak leszczyny, wyciągał nad grobem swoje gibkie gałęzie o puszystych, nieco szorstkich liściach. O. Ignacy siadł na sąsiedniej mogile i odetchnął. Potem rzuciwszy spojrzenie na bezobłoczne niebo, na którem w zupełnej nieruchomości zawisła rozpalona tarcza słoneczna, uczuł tę głęboką ciszę, nie dającą się do niczego porównać, tę cmentarną ciszę, kiedy niema wiatru i nie szumią rozbawione liście. I oto zdało się znów o. Ignacemu, że to nie jest cisza, ale milczenie. Rozlęwało się ono aż hen pod ceglane mury cmentarza i przelewając się na zewnątrz, zatapiało całe miasto. A kres jego był tam — w tych szarych, uparcie milczących oczach.

O. Ignacy skierował wzrok na mogilę Wiery. Długo wpatrywał się w pożółkłe źdźbła traw

wyrwane może razem z ziemią na jakimś rozległym, szerokim stepie, na którym królują wichry i jeszcze nie przywykłe do nowego gruntu, i nie mógł sobie jasno uświadomić tego, że pod tą właśnie trawą, w odległości dwu metrów od niego, spoczywa Wiera. Bliskość ta była jednak abstrakcją i tylko rodziła w duszy smutek i dziwną trwogę. Ta, o której o. Ignacy przywykł myśleć, jako o zgubionej na wieki w niebycie, była równocześnie tak blisko... i trudno było zrozumieć, że ona jest, podczas gdy jej przecież niema i nigdy nie będzie. Zdawało się o. Ignacemu, że gdy tylko wymówi pewne słowo, które prawie już wyczuwał na wargach, albo gdy zrobi tylko pewne poruszenie, wówczas Wiera napewno wyjdzie z mogiły, tak samo wysoka i piękna, jaką była za życia. I nie tylko ona powstanie, ale zmartwychwstaną i wszyscy umarli, których bliskość tak bardzo daje się uczuwać w uroczystym, lodowem milczeniu.

O. Ignacy zdjął swój czarny kapelusz z wielkimi kresami, pogładził swe faliste włosy i wymówił szeptem:

— Wiera!

Potem przestraszył się, że go ktoś może podpatrzeć lub podsłuchać i stanąwszy na mogile, spojrzal poprzez krzyże na wszystkie strony. Nie było nikogo, więc począł mówić głośniej:

— Wiera!

Był to już znowu ten sam głos o. Ignacego, rozkazujący i surowy i aż dziwnem się zdało, że tak stanowcze żądanie zostaje bez odpowiedzi.

— Wiera!

Głośno i natrętnie wołał głos, a gdy zamilkł, zdawało się przez chwilę, że gdzieś w głębi odpowiada mu inny głos, ale bardzo nieuchwytny. O. Ignacy oglądnąwszy się, przyłożył ucho do darniny, przyczem cała jego olbrzymia postać przyległa do ziemi.

— Wiera, powiedz!

I z przestrachem uczuł o. Ignacy, że w ucho jego wlewa się jakiś głuchy, mogilny ton i mrozi mózg, a Wiera mówi, ale mówi tem samym długim milczeniem. Coraz straszniejszym się ono staje, a gdy o. Ignacy z wysiłkiem podnosi głowę od ziemi, jest blady jak trup i zdaje się mu, że całe powietrze drga i faluje od tego huczącego milczenia, jak gdyby na tem strasznym morzu zakotłowała nagle burza. Milczenie go dusi; lodowemi falami przecieka przez jego głowę i porusza włosami; rozbija się o jego piersi, wydające głuche jęki bólu. Drżąc na całym ciele, rzucając na wszystkie strony szybkie i trwożne spojrzenia, o. Ignacy powstaje i usiłuje raz jeszcze wyprostować plecy i nadać sobie wyraz powagi i pewności siebie. I to mu się udaje. Więc o. Ignacy strzepując proch z kolan, wkłada

kapelusz, po trzykroć żegna mogiłę i idzie pewnym krokiem, lecz nie poznaje znajomego cmentarza i gubi drogę...

— Zabłądziłem! — uśmiecha się i zatrzymuje na skrzyżowaniu się ścieżek.

Stoi tam krótką chwilę i bez namysłu skręca na lewo, bo wie, że czekać i stać nie można. Milczenie dopada go; podnosi się z zielonych mogił; dyszą niem ponure, szare krzyże, cienkimi strugami wypływa ze wszystkich rozpadlin ziemi, przesyconej trupami. Kroki o. Ignacego stają się coraz to szybszymi. Oszołomiony, krąży po tych samych ścieżkach, przeskakuje groby, czepia się rękami klujących, blaszanych wieńców i drze w kawały miękką sutannę. Miota się, rzuca na obie strony i wreszcie poczyna biedz jak szaleniec, wysoki, niezwykle, z rozwianemi w powietrzu włosami. Więcej niż umarłego, który powstał z grobu, przestraszyłby się go zapewne każdy, widząc tę dziką postać biegnącego, skaczącego i machającego rękami człowieka, widząc jego twarz wykrzywioną strasznie w rozpacz i słysząc głuche rżenie, wychodzące z jego otwartych ust. Całym rozpędem wyskoczył o. Ignacy na plac, na którego krańcu widniała maleńka cmentarna kaplica. U wejścia na niskiej ławeczce drzemał staruszek, widocznie pielgrzym, a tuż obok niego dwóch żebraków klóciło się zażarcie.

Kiedy o. Ignacy podchodził do domu, było już ciemno, a w pokoju żony płonęło światło. Nie rozbierając się i nie zdejmując kapelusza, zakurzony, obszarpany, przeszedł o. Ignacy szybko do łóża żony i upadł przed nią na kolana:

— Matko... Oluś... zlitujże się ty nademną!
Warjuję... warjuję!

Uderzał głową o kraj stołu i lkał rozpacznie, jak człowiek, który nigdy nie płacze. I podniósł głowę, pewny, że zaraz cud się stanie, że żona jego przemówi i pożałuje go.

— Rodzona ty... serce moje...

Całem swem dużem ciałem runął ku pościeli i spotkał spojrzenie szarych oczu, utkwionych w nicość. Nie wyrażały one ani gniewu, ani współczucia. Być może, że żona przebaczała mu, być może, że nawet żałowała go...

I milczał cały opuszczony dom...

PRZY OKNIE

Andrzej Nikolajewicz zdjął z okna doniczkę z zaschlą geranią i począł patrzeć na ulicę. Przez całą noc i cały ranek siekl drobny, jesienny deszczyk, a drewniane domki, przemoczone nawskróś, robiły przygnębiające wrażenie. Samotne drzewa uginały się od wiatru, a ich pożółkłe, zczerniałe liście lgnęły ku sobie, szepecząc i skarzając się, to znowu, rozwiane na wsze strony, trzepotały się żałośnie na cienkich gałązkach. W ponurym domku odwiązała się od ściany okiennica i uparcie zatrzaskiwała połowę okna, wlokąc za sobą mokry sznurek, poczem znowu uderzała o nadgniłe ściany domku. A otwarta druga połowa okna, ze stojącą na niej flaszką żółtego masła i kopytem szewskim, patrzyła na ulicę z niezadowoloną miną, jak człowiek z podwiązanem, chorem okiem.

Za przegrodą z desek, oddzielającą pokoiik Andrzeja Nikolajewicza od ubikacyi gospodarza, dał się słyszeć ochryply głos, pomrukujący w nader wolnem tempie:

— Bo wiesz, o to mi głównie chodzi — zgubiłem gdzieś dwie kopiejki...

— Ta pluń na nie, Fedorze Iwanowiczu, — prosił głos kobiety...

— Kiedy nie mogę.

Pod ciężkimi krokami zaskrzypiała podłoga, a potem zastukało przewrócone krzesło. Gospodarz Andrzeja Nikolajewicza, piekarz, będąc pijanym miał zwyczaj szukać czegoś uporczywie, i nie prędzej się uspokajał, aż odnalazł zgubę. Najczęściej zaś gubił jakieś dwie kopiejki, w których istnienie Andrzej Nikolajewicz wogóle powątpiewał. Wówczas żona dawała mu własne dwie kopiejki, zapewniając, że to są właśnie te zgubione; mimo to Fedor Iwanowicz nie dowierzał jej i trzeba było za zgubą cały pokój przetrzącać.

Westchnąwszy na myśl o nieskończoności ludzkiej głupoty, Andrzej Nikolajewicz patrzył znów na ulicę. Naprzeciw okna, po drugiej stronie, wznosił się piękny, pański dom. Drewniana rzeźba pokrywała całą fasadę jak gdyby koronką, począwszy od wysokich, ciemnowiszniovych fundamentów a dochodząc do samego szczytu żelaznego dachu, ze stojącym na nim, również rzeźbionym słupkiem. Nawet w tym czasie, kiedy wszystko dokoła było takie martwe i smutne, lustrzane szyby domu lśniły wesołym blaskiem, a widoczne w głębi tropikalne rośliny dyszały

jak gdyby wieczną wiosną; takie były świeże i młode. Andrzej Nikołajewicz lubił obserwować ten dom, i wyobrażał sobie, jak w nim żyją. Piękni, uśmiechnięci ludzie bez szelestu przesu- wają się po parkietowych posadzkach, toną stopą w puszystych dywanach i niedbale wyciągają się na miękkich meblach, poddających się ich ciałom. Po przez zielone kwiaty nie widać ulicy z jej błotem, i wszystko tam takie piękne, za- ciszne i rozkoszne.

Kolo piątej godziny powraca z zajęć biuro- wych sam właściciel bogatego domu, przystojny wysoki brunet, o energicznym wyrazie twarzy i o białych zębach, nadających jego uśmiechowi pewność i stanowczość. Z nim razem przyjeżdża też często jakiś gość. Szybkim krokiem wspinają się na granitowe schody i uśmiechnięci, znikają za dębowymi drzwiami, gdy tymczasem gruby i gniewny stangret skręca z butą, półobrotem wjeżdża na brukowane podwórze, na którego odległym końcu widać zabudowania gospodar- skie i stajnie, na tle wysokich, odwiecznych drzew starego parku. I Andrzej Nikołajewicz wyobra- żał sobie, jak teraz wita ich młoda gosposia, jak siadają do stołu, zastawionego kryształowem, rżniętem szkłem, i przystrojonego tem wszystkim, czego Andrzej Nikołajewicz nigdy w życiu nie widział, — jak oni tam jedzą i śmieją się.

Pewnego razu spotkał na ulicy jadącego po-

wozem właściciela pięknych zębów, i uklonił mu się, a ten odpowiedział mu tak samo wyszukany i grzecznym ukłonem, lecz twarz jego nie wyrażała bynajmniej zdziwienia z tego powodu że mu się kłania jakiś szczupły pan w kaszkiecie z aksamitnymi kryszami i kokardą, i zdawał się nad tem wcale nie zastanawiać. Dlaczego tak było, nie wiedział i sam Andrzej Nikolajewicz.

— Bo wiesz, o to mi głównie chodzi — mówił za przegrodą gospodarz, — to nie te same dwie kopiejki. Tamte były wytarte.

— Boże, kiedy mnie już raz sprzątniesz z tego świata?

Andrzej Nikolajewicz siedział przy oknie i słuchał. Chciałby on, żeby tak codzień było święto, i żeby tak codzień mógł patrzeć jak inni żyją; wtedy tylko nie odczuwa strachu, który życie ze sobą wlecze.

W tych chwilach czas dla niego zastygał tak, że mogłyby całe lata przepłynąć, a w jego duszy zamarłej nie zrodziłaby się żadna myśl, ni żadne uczucie.

Właśnie rozwarły się wrota bogatego domu, wyjechał stangret, i zatrzymał się przy gancezku, ściągając w rękach lice. »To pani zaraz pojedzie«, — pomyślał Andrzej Nikolajewicz. Istotnie we drzwiach ukazała się młoda, wystrojona kobieta, a z nią syn, siedmioletni »pęcherzyk«, z twarzą tak samo smagłą, jak u ojca, oraz

z tym samym wyrazem godności i powagi. Założywszy ręce w kieszenie maleńkiego futerka, malutki człowieczek życzliwie spoglądał na wro nego żrebca, przebierającego niecierpliwie cienkimi nogami, i z tem samym zachmurzeniem poważnej osoby dał się następnie pokojówce podnieść i posadzić w powozie, przyczem ręce ciągle trzymał w kieszeniach. Tego chłopca Andrzej Nikolajewicz nazywał zawsze w myślach, niewiedomo dlaczego »jaśnie oświeconym« i wątpił zupełnie seryo, czy tego rodzaju dzieci rodzą się w taki sam prosty sposób jak i inne?

Kiedy obie kobiety rozśmiały się z maleńkiego generała, ten bynajmniej nie zrozumiał ich weselości, i obrzucił je pytającym spojrzeniem, a mizerny urzędnik, przyczajony za swoją szybą mimowoli uśmiechnął się także. Koń porwał z kopyta i drobnym klusem poniósł podskakujący ekwipaż. Kryjąc czerwone ręce pod furtuszką, pokojówka pokręciła się na jednej nodze i strojąc miny, ukryła się wreszcie za drzwiami. I znowu zamarła cała mokra ulica, a tylko odwiązana okiennica stuknęła tak zawzięcie i tak beznadziejnie, jak gdyby prosiła, żeby ktoś wyszedł i przywiązał ją do ściany. Lecz pokrzywiony domek jak gdyby zasnął.

Raz tylko przez małe okno zabłysła bladziutka twarz kobiety, ale i ta twarz nie była zda się żywą, lecz senną marą.

Andrzej Nikolajewicz z zasady nie zazdrościł bogatszym od siebie, a więc i tym z naprzeciwnika. Za to już od lat sześciu obserwował ich dom, i tak się z nim zżył, że gdyby dom ten się spalił, — nie wiedziałby zapewne, co z sobą zrobić, ani gdzie się podziać. Poznał wszystkie zachcianki i przyzwyczajenia mieszkańców tego domu, a gdy przeszłego roku, na wiosnę, przyszli lakiernicy i cieśle i zaczęli pracować, Andrzej Nikolajewicz silnie się zatrwodził i całe wolne dni spędzał przy oknie. Pewnym był, że ci niezgrabni robotnicy, wyśpiewujący cienkim dyszkantem jakieś idyotyczne piosenki, zepsują tylko zewnętrzny wygląd domu. A chociaż robotnicy nie tylko nic nie zepsuli, lecz owszem nadali mu jak gdyby nieco młodzieńczości przez jaskrawe barwy i politory, — Andrzej Nikolajewicz żałował szczerze dawnego domu, w którego ścianach znalazł każdą ryse.

W miejscu, w którym pochylenie dachu schodziło się ze stropem, w małym zagłębieniu znajdował się zaciszny i z tego powodu bardzo lubiany przez Andrzeja Nikolajewicza kącik, toteż zabolalo go bardzo, gdy cieśle obdarli stare rzeźby i wystawili kątek ten na pokaz całej ulicy, lśniący teraz białym ciosem od świeżych ran.

Niekiedy Andrzej Nikolajewicz myślał, że i on mógłby być człowiekiem zamożnym, a wówczas miałby dom z kolorowymi szklami i piękną

żonę. Na same przypuszczenie czegoś podobnego uczuwał dreszcze w całym ciele.

Teraz oto siedzi spokojnie w swoim pokoiku, a ściany i sufit, do którego tak łatwo ręką można było sięgnąć, obejmują go i bronią przed życiem i przed ludźmi.

Nikt do niego nie przyjdzie, nikt do niego nie przemówi i nie będzie domagał się od niego odpowiedzi. Nikt o nim nie wie i nie myśli o nim, więc jest tak spokojnym, jak gdyby leżał na piaszczystym dnie głębokiego oceanu, a ciężka, ciemno zielona masa wód odłączyła go od burzliwej powierzchni.

Gdyby teraz posiadał nagle bogactwo i dobrobyt, — to tak, jak gdyby stał na równinie, na widoku u wszystkich. Wszyscy nań spoglądają, mówią z nim, dotykają się go. Musi znowu rozmawiać z ludźmi, którzy zachodzą do niego ciągle, i sam chodzi wówczas po domach o wysokich sufitach i o niezliczonej ilości okien, przepuszczających jasne, silne światła. Nie obroniony przez nikogo, stoi na środku, jak gdyby na wielkim placu, po których tak nie lubi przechadzać się.

Musiałby myśleć o pieniądzach, o tem ażeby nie przepadły, o żonie, o fabryce i o wielu, wielu innych dziwnych rzeczach. Miałby wówczas swoich podwładnych, którym trzeba przewodzić, i rozkazywać, a jeśli nie usłuchają i zaczną

się opierać, wówczas musi krzyczeć, krzyczeć i tupać nogami

Trzeba być postrachem dla innych, trzeba być bardzo, bardzo mocnym, — i na samą myśl o tem czuje Andrzej Nikołajewicz, jak mu miękną ręce, nogi, i całe ciało, jak gdyby z nich wyjęto wszystkie muszkuły i kości. Uczucie to pojawia się zawsze, ile razy wypada mu robić coś po za programem codziennego życia, coś takiego, co nie jest rozkazem.

W kancelaryi czuje się równie dobrze, jak w domu. Stół jego, od piętnastu lat ciągle jeden i ten sam, — okryty czarną ceratą, wciśnięty w sam kąt, a kiedy przychodzi szef, nie spostrzega Andrzeja Nikołajewicza w grupie innych urzędników. Mimo to w podobnej chwili uczuwa on pewną obawę, a dopiero po przejściu radcy, i po wyprostowaniu się zgiętych pleców, niby kłosów zboża po umykającym w dal wietrze, — Andrzej Nikołajewicz czuje się już w zupełnem bezpieczeństwie. Jeden jedyny pomocnik sekretarza, przyjmujący od niego przepisane arkusze i dający mu inne na zmianę, ten tylko wie, że na bożym świecie istnieje bardzo skrupulatny i bardzo skromny urzędnik, piszący z wielkiem rozmachem literę »d« i »p« podobne, do klucza wiolinowego, że nazywa się on Andrzej Nikołajewicz, że koledzy biurowi nazywają go »kikimorą«, i że wreszcie familia jego

znana jest jednemu tylko buchhalterowi. Swoją drogą, urzędnik ten wie bardzo dobrze, co będzie robił jutro i w przeciągu całego życia, i to że nic nowego nie spotka na swej drodze.

Pięć lat temu mianowano go starszym urzędnikiem — co to były za okropne chwile!

W tej chwili nasunęła się chmura i w pokoju Andrzeja Nikolajewicza rozlał się mrok. On sam patrzy przez okno, jak wiatr kołysze chorągiewką na dachowym słupku, i usiłuje myśleć o tem, czy to drzewko, co się tak trzepoce, oprze się porywowi wichru i czy też w bogatym domu naprzeciw daje się uczuwać ów wiatr i owa chmura. Lecz myśli jego płyną dalej, a obraz życia w bogatym domu pozostaje nadal osłonięty mgłą.

W stworzonej przez Andrzeja Nikolajewicza twierdzy, w której zamurował się zdala od świata, istnieje słabsze miejsce, i tylko on sam jeden zna tę tajemną furteczkę, z poza której chyłkiem zbliżają się wrogowie. Zabezpieczony co prawda od wtargnięcia ludzi, dotąd nie umie sobie radzić z myślami. Przychodzą doń same niespostrzeżenie, rozsuwają ściany i zdejmują sufit, rzucając Andrzeja Nikolajewicza tylko pod osłonę nieboskłonu, na samo centrum owego bezkresnego placu, otwartego ze wszystkich stron, gdzie on staje się jak gdyby osią wszechistnienia, i gdzie tak niewygodnie i niezacisznie. Otóż i teraz,

gdy cieszył się tak nieuchwytnem przesuwaniem się czasu, podkradły się znienacka wrogi, z którymi walczyć nie czuje się na siłach.

Niema już ani ścian, ani jego pokoju. Stoi znowu przed szefem, czuje to dziwne rozluźnienie mięśni i stawów, i jak gdyby przykuty, wpatruje się w błyszczącą tarczę łysiny radcy. W ten sposób mija zwolna jedna sekunda, i druga. Podeszwy zupełnie przyrosły do posadzki, a ruszyć Andrzeja Nikolajewicza z miejsca nie potrafilby nawet tuzin koni.

— Cóż więc jeszcze? — zwraca uwagę radca, po omówieniu wszystkich spraw. Głos jego rozbrzmiewa, jak trąba na sądzie ostatecznym, a nogi Andrzeja Nikolajewicza już, już się mają poruszyć, lecz nie kierują się ku drzwiom, gdzie jest wybawienie, lecz tańczą na jednym miejscu. Język jednak jeszcze się nie odkleił, a oderwać go potrafiłyby chyba szczypcy.

— A za — atem? — ciągnęła trąba.

— A... jeżeli Agapow w dwu godzinach nie przepisze?

— Aha... szef zamyślił się.

— No, więc dajcie mu do domu. Zrozumiano?

— Zrozumiano, — odpowiada pośpiesznie Andrzej Nikolajewicz. Nie pojmuje dobrze, czego się od niego chce, bo oto nowe, straszne pytanie przenika przez jego mózg.

— Więc... czego jeszcze chcecie? — ryczy trąba.

— A... jeżeli on już ma jaką inną, nie cierpiącą zwłoki sprawę?

To miało też pewną rację. Agapow, mógł przecie mieć inną, nie cierpiącą zwłoki sprawę, a radca o tem zapomniał. Znowu więc, podnosząc wzrok od swych papierów, zwrócił go radca na Andrzeja Nikołajewicza, i był widocznie niezadowolony, bo ostatecznie nie mógł nic wymyśleć.

— No... to dajcie komu innemu, i basta.

— A jeżeli...

— Co-o? — porwał się z miejsca sędziwy radca.

Oczy jego stały się tak ogromne i okrągłe, jak bilardowe kule. Andrzej Nikołajewicz zamarł z przerażenia.

— Nie, nie, ja nie o tem, — szybko począł recytować, a z mimowolnego naśladowania krzyknął na naczelnika tak samo głośno, jak i tamten, — przypominało to rozmowę dwóch ludzi, rozdzielonych jarem: »Ja wam chcę powiedzieć, że jeżeli na dzisiejszą pocztę się spóźnimy, to co wówczas będzie?«

Reszta streszcza się we wspomnieniach Andrzeja Nikołajewicza w jednym tylko, nieuchwytnym dźwięku: f — fa! a!

W tydzień później radca mówił do sekretarza:

— Skąd wyrwaliście właściwie tego pana, co po same gardło napchany jest przeróżnemi — »jeżeli«?

Wszystko, co on przewiduje może się stać, naturalnie, choć mi to i na myśl nie przyszło.

Ale przecież w końcu i dom może się zawalić! — rozgniewał się na seryo. Może, czy nie?

— Co do rządowego budynku to wątpię — zażartował sobie sekretarz i dodał:

— Ale, co do tego pana, to nigdy nie przypuszczałem, przecież on taki skrupulatny...

— I jaki zuchwały, krzyczy, dalibóg, krzyczy jeszcze, sprzątnijcie go na dawne miejsce...

Andrzeja Nikolajewicza istotnie sprzątnęli, a przez cały ten tydzień ręce jego i nogi były tak miękkie, jak u taniej lalki, wypchanej trocinami.

* * *

Na ulicy rozległy się ostre i wesołe tony harmoniki. Po przeciwnej stronie chodnika szło czterech pijanych, odzianych w długie surduty, wysokie buty i kaszkiety, o krysach ostrych niby nóż. Wszyscy czterej byli jednakowo młodzi, a szli z twarzami całkiem poważnemi a nawet smutnemi. Jeden z nich, podnosząc wysoko harmonikę, wygrywał monotony, molowy mo-

tyw, od którego w oczach robiło się wilgotno. Wówczas uliczne bachory, naśladowując dorosłych, bawiły się w pijanych i zamiast harmoniki trzymały w rękach deszczulki; przedrzeźniały one w ten sposób motyw smutnej piosenki:

— Han — na — nidav, han — na — nidav,
han — na — nidav, naj — na.

Naprzeciwko czerwonego domu na bruku, było jedno jedyne miejsce, stosunkowo dość suche, i tam właśnie wystąpił z szeregu jeden z pijanych i zaczął tańczyć, stukając obcasami i wyginając cały korpus.

Twarz jego była jeszcze bardzo młodą, miała jednak tak poważny i tak smutny wyraz, jak gdyby mu już od dawien dawna sprzykrzyło się być pijanym i tańczyć na błotnistym bruku, przy tym niewesołym akompaniamencie.

Reszta z idącej czwórki, spoglądała na niego tak samo obojętnie i ospale, nie wyrażając zarówno ani pochwały jak i nagany.

Wańka Gęsiorek! — pomyślał Andrzej Nikolajewicz. — Tańczy — pewnie się żonie i dzisiaj coś dostanie.

Gdy pijana gromadka zniknęła w bocznej uliczce, a ponura melodia harmoniki rozwiała się w pomroce, z pokrzywionego domku wyszła kobieta, żona Gęsiorka, i stanęła na ganeczku, patrząc wślad za tymi, co przeszli. Ubrana była w czerwoną perkalową bluzkę, powalaną sadzą

i odsłaniającą całą pierś jeszcze dziewiczą i okrągłą. Wicher rozwiewał na niej suknię i podwijał ją około nóg, rysując wyraźnie ich kontury, a cała postać, od bosej maleńkiej stopy aż do dumnie wzniesionej główki, przypominała grecką rzeźbę, dziwnem zrządzeniem losu zarzuconą w błoto prowincjonalnego zapadliska... Twarz o regularnych rysach była bardzo blada, a sine kręgi powiększały i tak już duże, czarne oczy. Miały one zarazem wyraz gniewu i obawy, tęsknoty i pogardy. Długo jeszcze stała tak Natasza, i przenikliwie wpatrywała się w kierunku ulicy, gdzie zniknął jej mąż, jak gdyby całą siłą woli chciała go zawrócić. Ręka, którą trzymała na kłamce, zeszytywniała; włosy na wietrze rozwiały się, a zapomniana, biedna okiennica tłukła się uporczywie, powtarzając za każdym razem: »nie, nie, nie«.

A to dopiero dziwna baba! — dziwił się Andrzej Nikolajewicz, gdy Natasza już odeszła, nie spojrzawszy nawet w stronę okna, za którym się ukrywał.

— Dzięki ci Boże, żem się z nią nie ożenił.

Andrzej Nikolajewicz roześmiał się aż z zadowolenia, ale nie trwało to długo. Jeszcze nie wygładziły się zmarszczki, powstałe przez śmiech, a już tajemniczą furtką wkradły się wrogi.

Obraz Nataszy, pozostały jeszcze na siat-

kówce jego oczu, wyrósł przed nim jak żywy, a obok znienacka wystąpił i drugi jeszcze.

Ściany się rozsunęły i znikły; nagle zapachniało przed nim polem i skoszonem sianem.

Nad czarnym krańcem ziemi wisiała nieruchoma, krwawa tarcza wschodzącego księżyca, a wszystko wokół było takie ciche...

— O Boże! — mówił Andrzej Nikolajewicz błagalnie, — czyż nie wystarcza, że to już kiedyś się działo, czyż potrzeba, by się to wiecznie zjawiało. Ja nie chcę, nie chcę!

Zżółkłymi od tytoniu palcami oderwał kawałek papieru, stosownego raczej do zawijania pakunków, niż do klejenia tutek, wydobyl następnie z blaszanego pudełka szczyptę drobnego tytoniu, i skrecił papierosa, zaklejając konce papieru językiem.

Za przegrodą sapał i chrapał Fedor Iwanowicz. Wycieńczony wódką oraz szukaniem zgubionych dwóch kopiejek, zasnął, a zbudzi się zapewne nie prędzej, aż wieczorem.

A gdy Fedor Iwanowicz wstanie, będzie długo kaszlać, kaszlem męczącym, wywracającym wszystkie wnętrzości, potem napije się kwasu, potem znowu wódki, i zaczną się na nowo męczarnie jego żony. Tak bywało każdego święta. I Andrzej Nikolajewicz zły był na tego biedaka, który przez cały tydzień poci się przy rozżarzonem piecu, a w każde święto dławi się wódką.

Spojrzał na ulicę. Przez rozdarte chmury wyjrzało na chwilę słońce i oświeciło żółtem, skąpem jaśnieniem mokrą ulicę.

Tylko dom z przeciwnej strony stał jak zawsze dumny i wesoly, a okna jego promieniały i lśniły się. Lecz Andrzej Nikolajewicz nie widział tego. Zauważył natomiast to, co już niegdyś było, i co tak natrętnie nawiedzało go, mimo wszystkich ścian i zamków.

Natasza nigdy nie była wesolą, nawet wtedy, gdy była jeszcze przystojną, swobodną dziewczyną, o miłość której wielu się ubijało. Ujrzawszy ją po raz pierwszy, Andrzej Nikolajewicz uczuł pewne pomieszanie i obawę. Śledził uważnie każde jej poruszenie, takie zawsze pewne siebie, a często niespodziane, i zdawało mu się, że Natasza coś takiego powie lub zrobi, czem wszyscy obecni na wieczornicy się zasmuca. Wraz z innymi dziewczętami śpiewała piosenki, lecz nie starała się tak jak one przekrzyczeć wszystkie, lecz nucila osobno swym niskim, kontraltowym głosem, jak gdyby śpiewała jedynie dla siebie samej. Kiedy Gęsiorek, który także był na tej zabawie, jak zwykle nieco podchmielony, brutalnie objął ją w pól, — odepchnęła go gwałtownie i zaczerwieniona, powiedziała coś takiego, że aż jasny wąsik chłopaka zadrgał, a oczy przybrały wyraz wyzywający. Śmiejąc się impertynencko, wskazał palcem na Andrzeja

Nikołajewicza, — Natasza zaś odwróciła szybko głowę a czarne jej oczy wpatrywały się w niego, niby pytając, niby prosząc, a raczej rozkazując uczynić coś, natychmiast, niezwłocznie. A on próbował odwrócić nawet oczy w inną stronę, lecz nie mógł, uczuwał bowiem ten sam stan zamarcia, jaki zwykł go nawiedzać w obecności szefa. Twarzy Nataszy nie spostrzegał, tylko rozróżniał jej oczy, strasznie duże, przejrzyste, strasznie czarne, świecące jak dwa czarne dyamenty. Nie spuszczać z niego wzroku, Natasza podniosła się z krzesła i szybkim, pewnym krokiem przeszła przez całą izbę, poczem usiadła przy nim z taką prostotą i swobodą, jak gdyby ją o to usilnie prosił; nareszcie przemówiła do niego, niby dawna znajoma.

— Zapamiętam to sobie, Natalio Iwanówno — zagroził przechodząc koło nich Gęsiorek. Na Andrzeja Nikołajewicza nawet nie spojrział, ale jego drżące wąsiki wyrażały groźbę i gniew.

— Pozostańcie w spokoju i nie rozstajcie się nigdy — przemówił ironicznie, i nie otrzymawszy od Nataszy odpowiedzi, wyszedł, chwacko zarzuciwszy na plecy surdut. Po chwili rozległa się pod oknami harmonika, a wysoki, przyjemny tenor zaśpiewał:

Dziewczyna mi miła
Serce zniewoliła

Serce zniewoliła
W śmiecie porzuciła
Hej!

— Strzeżcie się, bo on was nabije, — rzekła Natasza.

— Nie będzie śmiał, jam urzędnik — odpowiedział Andrzej Nikolajewicz i istotnie wcale nie uczuwał lęku.

Od pewnej chwili jak gdyby jutrznia złota rozpalila się w jego duszy. Nie tylko odpowiadał na zapytania Nataszy, ale i sam mówił, a nawet sam stawiał pytania, i wcale się nie dziwił, że mówi tak wprawnie i pięknie, jak gdyby przez całe życie tylko tem się zajmował. Myśląc tak i rozmawiając spostrzegał równocześnie z nadzwyczajną wyrazistością wszystko dookoła siebie: a więc i brudną podłogę, zasypaną zupełnie łupą słoneczników, i chichoczące dziewczęta, i wreszcie pełen pokus dołeczek na brodzie Nataszy. Gdy Natasza odeszła, opanowało go jednak uczucie olbrzymiego strachu, by nie powróciła i znów nie zaczęła mówić.

Gęsiorka zaczął się również obawiać i długo znajdował się w niepewności, co ma uczynić: czy iść do domu, żeby się uwolnić od Nataszy, czy pozostać tam, aż Gęsiorka nie zaprowadzą do cyrkułu, o czem dowie się z gwizdawki policyanta.

W ciągu całego następnego dnia Andrzej

Nikołajewicz obawiał się, żeby Natasza nie zechciała go odwiedzić, a na samo wspomnienie swojej wczorajszej zuchwałości, uczuwał to zwykle rozluźnienie mięśni w nogach.

Gdy jednak za przegródką u gospodyni, usłyszał niski głos Nataszy, zerwał się z miejsca, jak szalony i z rozmachem wszedł do sąsiedniego pokoju. Tak samo w czasie bitwy na czele batalionu biegnie czupurny, młodziutki żołnierz, macha rękoma i krzyczy »hurra«... Zda ci się, że to najodważniejszy ze wszystkich, a tymczasem po jego twarzy kroplisty pot spływa, a serce ze strachu prawie bić przestaje. Za ledwie jednak dostrzegł Andrzej Nikołajewicz dwa znane dyamentowe błyski w oczach Nataszy, strach znikł natychmiast, w duszy było mu lekko i zacisznie.

Dwa miesiące przeszły jak we śnie, a w końcu okazało się, że Natasza i Andrzej Nikołajewicz kochają się wzajem. Najlepszym tego dowodem był fakt, iż Andrzej Nikołajewicz całował Nataszę w te straszne, czarne oczy, laskoczące wargi swemi rzęsami. Prócz tego, jak gdyby w dowód miłości, mówiła ona słodko:

— Nie trzeba całować po oczach, — to zła wróżba.

— Jaka mi tam wróżba? — śmiał się Andrzej Nikołajewicz i czuł, o ile on, człowiek wykształcony, skończywszy dwie klasy realnego

gimnazjum, — był wyższym od tej ciemnej dziewczyny, wierzącej we wszystkie wróżby.

— Taka, że mnie przestaniecie miłować, i tyle.

Jeśli istnieje możliwość rozkochania się — zatem i miłość istnieje. Lecz skądże się ona wzięła? I gdzie się podziewała przez cały ten czas, zanim Andrzej Nikołajewicz poznał Nataszę. Wówczas dziewczyna ta była dlań całkiem obcą i daleką, a w pocałunki jej tak samo trudno było uwierzyć, jak naprzykład w pocałunki bogatej pani, mieszkającej w domu naprzeciwno. Samo słowo »Natasza« było mu dotąd obce, dźwięczało dla niego jakoś dziwnie, jak gdyby dotychczas nie znał wogóle tego imienia, i nie spotykał podobnego zestawienia dźwięków, Natasza... On nic o Nataszy zgoła nie wiedział, ani o jej życiu, ani o jej przeszłości, o której nie lubiła mówić.

— Żyłam tak, jak wszyscy ludzie, — mówiła. — Ot lepiej opowiadajcie coś o sobie.

Prośba ta sprawiała Andrzejowi Nikołajewiczowi niezmierny kłopot, bo w końcu nie było o czym opowiadać.

Ma trzydzieście cztery lat, a z tych czasów w pamięci nic nie pozostało, oprócz jakiejś mgły, oraz osobliwego dreszczu, chwytającego człowieka wśród mgły, gdy przed samymi oczyma wyłoni się szary, nieprzenikniony mur.

Miał ojca, malutkiego, rudego urzędniczyne, w dużych kaloszach i z ogromną teką papierów pod pachą; miał też i matkę, szczupłą, wysoką, zmarłą nader wczesnie, wraz z drugim dzieckiem. Później od 16-go roku życia Andrzej Nikolajewicz stał się także urzędnikiem, nosił pod pachą taką samą tekę z plikiem papierów, a na nogach stare kalosze ojca. Ojciec umarł na cholere, i wtedy począł on chadzać sam do biura.

W młodości bardzo lubił bilard, grał na gitarze, asystował panienkom. Raz przyrzeczono mu dobre, popłatne zajęcie, lecz przyszedł ktoś inny i zabrał mu je z pod nosa. Ale być może że to i na lepsze wyszło, bo ten, co mu zajęcie sprzątnął z przed nosa, nie wytrwał przy niem i roku, tylko umarł, podczas gdy on, Andrzej Nikolajewicz, jest zdrów, i do dziś dnia służy.

— I tyle? — pytała się, jak gdyby zawiedziona w marzeniach Natasza.

— I tyle. Cóż ma być jeszcze.

— Ja, bo widzisz, inaczej myślałam. Myślałam, że wasze życie jest inne, nie takie jak nasze. Książki czytacie, a mówicie cicho o wszystkim szlachetnem, dobrem, uczuciowem.

— I książki się czytało, pewnie. Ale w nich nic prawdy niema, ni sensu, same wymysły.

— A religijne?

— Ktoby teraz czytał religijne? To tylko kupiec, napycha kieszenie złotem, a potem czyta

religijne książki. U nas i bez tego mało się grzeszy.

— I nie smutno-to wam tak samemu, co?

— Dlaczego ma być smutno? Człowiek syty, odziany, obuty, u naczelnika dobrze widziany. Sekretarz to zwykle tak mówi: — przykładny to urzędnik, ten Andrzej Nikolajewicz. A kto gubernatorowi raporty przepisuje? Toż ja, nie kto inny. Tak tak...

— Ale czy wam bez ludzi nie przykrzy się, co?...

— E-e! Co mi po ludziach? Nieprzyjemności tylko a zwady. To źle, tamto źle. Ja przynajmniej sobie sam pan. A tak, jakbyś chciał we wszystko wglądać, ho-ho! Tu pijak, tam karciarz, naczelnika trzaby o wszystkim powiadomić, a ja widzisz lubię ciszę, i skromność. Przecież ja nie byle kto »kolegialny pisarz« jestem — widzisz więc, jaka ryba. Ty nawet tego wymówić nie potrafisz. Inni przyjmują chętnie podarki za donosy, a ja, uważasz, nie mogę. Szlachetność przede wszystkim. Po co brać grzech na sumienie?

Ale Natasza nie czuła się zupełnie zadowolona. Chciała wiedzieć, jak u nich, urzędników żyją żony, córki, dzieci. Czy mężowie piją wódkę, a jeśli piją, to czy biją żony, i co robią te ostatnie, gdy mąż jest w biurze. W miarę postępu opowieści, twarz Nataszy stygła, a tylko ponę-

tna zmarszczka koło zmysłowo rozchylonych ust, drgnęła z wyrazem uporczywego myślenia i zdziwienia.

— Bądźcie zdrowi, — mówiła cichutko, i odchodziła.

A on, ucałowawszy jej zimny policzek, myślał:

— Czego ona właściwie chce? Tylko tęsknicę w sercu rodzi...

Pewnego razu w lecie siedzieli sam na sam w cienistym sadzie, a potem wyszli nad brzeg rzeki. Słońce zaszło skryte za chmurami i tylko jeden czerwony pas plonął na horyzoncie, zapowiadając na następny dzień wiatr. Toń wodna była spokojna, prawie że nieruchoma i zdawało się im, patrzącym z góry, że to drugie niebo leżało tam w dole. Na drugim brzegu rzeki rozciągnął się step daleko i szeroko, a na nim rysowały się pstremi plamami stada gęsi i krów, a słomiane szalasy pastuchów zaledwie były widoczne na tle czarnej od kontrastu z rozplamieniem niebem, ziemi. Koło jednego z szalaków plonęło ognisko, a jego płomienie wznosiły się w górę prostym, cienkim ostrzem, jak gdyby plomyk woskowej świecy. Od strony sadów pachniało zleżalimi jabłkami oraz świeżo skoszonem sianem. Na ulicy zastukał już w kołatkę strażnik nocny, potem kawki, które oblepiły wszystkie wysokie rokiciny dookoła, potrząsnęły

liśćmi i rozniosły szumne krakanie na wszystkie strony stepu. Po chwili nastąpiła znowu cisza.

— W którym uchu dzwoni? — spytała Natasza i pochyliła główkę, bojąc się zatracić ten subtelny, dzwoniący ton.

— W lewym — odpowiedział bez namysłu Andrzej Nikolajewicz, i nie zgadł.

Ale on się zupełnie nie starał o to, — bo cichy wieczór usposobił go do cichego smutku i do rozmyślań o życiu. Zmrużonemi oczyma wpatrując się w ognisko, wydobyl z kieszeni cygarniczkę i zapalił papierosa, a dym misternymi kłębkami ulatywał i rozplywał się w powietrzu, pełnem przeźroczej mgły.

Andrzej Nikolajewicz począł mówić o tem, jaką to dziwną i jaką okropną rzeczą jest życie, w którym tak wiele jest zagadek i niespodzianek. — Mówił wolno, przerywając długimi pauzami.

— Ludzie żyją i umierają, i dzisiaj nie wiedzą o tem, że jutro umrą. Szedł urzędniczek do piwnicy po piwko, a tu najeżdża na niego kareta i tratuje, a zamiast piwa przynoszą czekającym przyjaciółom niezastygłego jeszcze trupa. Dostał urzędnik nagrodę, poszła żona do cerkwi Bogu dziękować, a tu jej w cerkwi pieniądze ktoś wyciągnął. I gdzie się nie zwróci człowiek, wszędzie spotyka ludzi brutalnych, hałaśliwych, odważnych, którzy wciąż naprzód dążą i coraz

to więcej chcą zagarnąć. Nieublagani, bezlitośni, na przelaj torują sobie drogę, świszcząc i turkoczając, i depczą innych ludzi, słabszych. Tylko jeden pisk się rozlega wśród nadeptanych, ale nikt ich słuchać nie chce.

Taki już ich los!

Głos Andrzeja Nikołajewicza drżał i łamał się, a on cały wydawał się maleńkim, i przybitym i zdeptanym. Plecy się zgięły, okazując ostre łopatki, cienkie palce, nie znające grubej pracy, spoczywały bezwładnie na kolanach, jak gdyby cała góra aktów i skryptów, przepisanych w ciągu całego życia przez niego i przez jego ojca, legła teraz na jego plecy, uginając je swoim wielopudowym ciężarem.

— W ten sposób przeżywa człowiek całe życie, — skończył po długiej przerwie swoje rozmyślenia.

— Wamby... pójść gdzie...

— Gdzie, niby?

Natasza zamilkła i nagle objęła rękoma szyję Andrzeja Nikołajewicza i przycisnęła jego głowę do swojej piersi.

— Gołębeczku ty mój, kochanie moje!

Po raz pierwszy przemówiła do Andrzeja Nikołajewicza »ty«. Przez porywczy ten ruch Nataszy spadła z głowy jego czapka z aksamitnymi kresami i długo toczyła się wdół, podskakując na każdym wyboju rozpadliny. Twarda ręka

dziewczyny przyciskała mocno głowę Andrzeja Nikolajewicza do młodej piersi, i było mu bardzo ciepło i dobrze; nie bał się już niczego, tylko niewymownie żał mu było samego siebie. Całą duszą zapragnął teraz powiedzieć coś tak dobrego i życzliwego, żeby Natasza zapłakała, lecz nie mógł nic wymyśleć.

Tymczasem w zgiętej szyi uczuł ból z niewygodnej pozycji i próbował delikatnie wyswobodzić głowę, lecz twarda ręka jeszcze mocniej przycisnęła ją do gorących piersi.

Oddychając wonią młodego, zdrowego ciała, spojrzal z boku na czyste już i pełne gwiazd niebo, i z pod ręki Nataszy dostrzegł krwawą tarczę księżyca, zawieszoną z tem miejscu, gdzie czarny kres ziemi zlewał się z liliowym nieboskłonem. Księżyc ten był straszny przez swoją ludzącą bliskość. Nie wydawał promiennej aureoli, lecz wisiał nad ziemią, niby zwiastun jakiegoś epokowego nieszczęścia, jak sama groźba, zesłana przez Opatrzność grzesznym ludziom. Przestraszona, zamarła rzeka i szuwar-gadula zamikł; nawet ognisko na drugim brzegu rzeki zgasło, i nic już nie przerywało złowrogiej ciszy.

Natasza drgnęła, i puściła z objęć głowę Andrzeja Nikolajewicza.

— Chodźmy już.

Porwany prądem świeżego powietrza, powstał i stanąwszy w pięknej pozie chciał powiedzieć

jej to coś, tak ważne i znaczące, na co mu słów brakło.

— Nataszo... — zaczął niepewnym głosem, wydawszy usta i chmurząc brwi.

Gładka, zaczésana fryzura jego, była tym razem najeżona jak szczecina.

— No?

— Nataszo... — powtórzył, zapomniawszy, co chciał wogóle mówić. — Nataszo, o to mi głównie chodzi.....

— Żem dwie kopiejki zgubił? Jaki ty śmieszny?

Natasza rozśmiała się. Śmiech jej był rażący, nieprzyjemny, jak gdyby nienaturalny.

Andrzej Nikołajewicz obraził się, poszedł w milczeniu po czapkę, a w drodze do domu wyrzucał Nataszy jej śmiech i nieumiejętność zachowywania się w przyzwoitem towarzystwie.

* * *

Andrzej Nikołajewicz siedział ciągle przy oknie, spoglądał w ulicę, zawsze jednakowo pustą i ponurą, i słuchał, jak w pokrzywionym domku nie przestawała kołatać o ścianę okiennica, jakgdyby chciała wbić gwoździe w czyjąś trumnę.

Nie może jej przywiązać! — pomyślał o Nataszy z pewnym gniewem, i spojrzawszy na

zegarek, przekonał się, że już najwyższy czas zjeść obiad, i że nawet minęło niepotrzebnie pięć minut.

Po obiedzie położył się, ale nie mógł zasnąć; jednym słowem, święto miał popsute. Za przegródką, jak gdyby na złość, chrapał głośno Fedor Iwanowicz.

Na drugi dzień po wieczorze nad rzeką, zaczął się opad uczuć i był tak samo niewytłumaczonym, jak powstanie miłości. Oddawna już dokuczały Andrzejowi Nikołajewiczowi pewne nieprzyjemne domysły, które z czasem przeszły w zupełną pewność; Natasza chce wyjść za mąż i to koniecznie za urzędnika. Jest to kobieta nie czytelna, mówi »tera«, »źreć«, pracuje w fabryce tutek, gdzie musi znosić niemiłe zaczepki i słuchać brutalnych propozycji. Dlatego to szuka sobie męża z pozycją, wykształconego, któryby mógł być jej obrońcą i opiekunem, a z takich na całej ulicy niema nikogo, oprócz niego, — Andrzeja Nikołajewicza Nikołajewa, kolegialnego pisarza. Ponieważ jest kobietą sprytną i rozsądną, ukrywa zatem swoje plany i udaje, że kocha bezinteresownie. A że dotychczas podobna taktyka do niczego nie doprowadziła, i Andrzej Nikołajewicz pozostał twardym, jak granit, Natasza uciekła się do innego sposobu, na który jednakże nie uda się jej złapać człowieka doświadczonego, w młodości asystującego wielu

pannom. Udaje mianowicie, że wcale nie kocha Andrzeja Nikolajewicza i umyślnie wychwala Gęsiorka za jego dziarskość i siłę. A tego Gęsiorka właśnie w tym czasie wiedli do cyrkulu; koszula jego była rozdarta od góry do dołu, a po bladej, jak kreda, twarzy ściekała czerwona struga krwi. Biegła za nim z wrzaskiem gromada uliczników, a jeden z policyantów tak samo bladej, jak i Gęsiorek, raz po raz walił go kulakiem. I takiego miała ona pokochać?

Dla Andrzeja Nikolajewicza nastaly straszne chwile katuszy, i pojawiły się kwestye, od których tajał kilka razy na dzień. Ile razy patrzył się na Nataszę, albo jej dotykał, — chciał się żenić, a małżeństwo to wydawało się łatwym do uskutecznienia i przyjemnym, w innych zaś chwilach budziło w nim silną obawę. Należał do ludzi, którzy chorują przy zmianie pomieszkania, a tu tyle czekało go nowości, że mógłby z nich umrzeć. Iść do księdza, szukać drużbów, którzy mogą się spóźnić, a wtenczas trzeba będzie jechać po nich i targować się z fiakrem; potem znowu iść lub jechać do cerkwi, która może być zamknięta, — stróż zgubił klucz, a naród się śmieje. A później szukać trzeba pomieszkania, i przeprowadzać się; jednym słowem rozpocząć całkiem inne, nowe życie. O wszystko się troszczyć, o wszystkim myśleć i mówić. A jak będą dzieci? Do tego jeszcze, nie daj

Boże dwojaczki, i to same dziewczęta, które potrzebują posagu? A jeżeli nowe pomieszkanie będzie wilgotne i ze złym piecem? Tu Andrzej Nikolajewicz rozpaczonym gestem rozburzał sobie włosy i gotów był zaraz jutro oświadczyć Nataszy to wszystko, gdyby nie obawa, że się zabije, albo poskarzy się Gęsiorkowi, a ten pokaleczy Andrzeja Nikolajewicza, albo poprostu spojrzy na niego, co jest gorszem od skaleczenia. Ludzie którzy się pobierają, urosli w oczach Andrzeja Nikolajewicza na bohaterów, i z szacunkiem myślał o Fedorze Iwanowiczu i o gospodyni, którzy przecież zdołali się pobrać, i żyją jeszcze ze sobą. Raz nawet napisał do Nataszy:

»Łaskawa Pani,

Natalia Antonówna!

Niniejszem pismem z dnia 22 listopada bieżącego roku, mam zaszczyt powiadomić łaskawą panią, iż powodowany słabem zdrowiem, znużony trudami i dbaniem o korzyść ojczyzny i tronu, ja, urzędnik trzynastej rangi, osierocony przez oboje rodziców, papę Nikolaja Andrejewicza Nikolajewa, i mateczkę Daryę Procharówną (wieczne odpoczywanie racz im dać Panie), otóż, ja, Andrzej Nikolajewicz Nikolajew...« i t. d.

Ponieważ jednak Natasza była analfabetką, więc powyższego listu nie posłał wcale, tylko przepisywał go kilka razy dla siebie samego, dodając ciągle nowe punkta. Na szczęście Nata-

sza nie potrzebowała żadnych zgoła wyjaśnień, przeliczyła się sama ze sobą. Z początku nie pozwoliła się całować — Andrzej Nikolajewicz ani pisał. Potem parę razę nie przyszła na rendez-vous. Andrzej Nikolajewicz był oburzony, lecz nie okazał tego po sobie, trzymając się zdaleka, z ciągłym zachowaniem godności własnej, i tylko z lekka wytykał jej nieprzyzwoitość jej postępowania.

Później przestali się widywać zupełnie, a razu pewnego gospodyni przyniosła radosną nowinę, że Natasza wychodzi za mąż za Gęsiorka.

— Takiego gęsiorka sobie wybrała, niema co mówić cacanego! — irytowała się gospodyni, patrząc się z współczuciem na Andrzeja Nikolajewicza:

— To ci dopiero ambitny i umyślnie udaje, że się cieszy.

Głupcy — urzędnicy tego dnia spoglądali na niego ze zdziwieniem; myśleli, że się żeni i winszowali mu, mówiąc:

— To ci dopiero »kikimora« sztuki dokazał no, no, ktoby to myślał!

Tymczem właśnie on się nie żenił!

Huczne było wesele Nataszy. Był to drugi radosny dzień, w którym Andrzej Nikolajewicz siedział według zwyczaju przy oknie, widział jak od tupotu nóg tańczących trzęsie się pokrzywiony domeczek i słuchał dochodzących

stamtąd wesolych okrzyków i dźwięków harmoniki. Pomyśleć tylko, że on mógł być centrem tego wesołego zbiorowiska! Br... Z szczególną radością slyszal w nocy, jak w pokrzywionym domku zabrzczały rozbijane szyby, i rozległy się dzikie krzyki oraz piskliwe kobiece jęki. Koło jego okna przebiegl ktoś, potem dal się slyszec loskot walki, ciezkie oddechy i w koncu upadek ciala.

— Stój, nie umkniesz teraz! chrapał czyjś basowy głos, poczem następowaly uderzenia po czemś miękkim i mokrem.

— Ratunku!

Jak gdyby nagle przebudzona, huknęła kołatka stróża, której zawtórowała wnet gwizdawka policyanta Bergamota. Jak gdyby echo odpowiedziały mu w oddali inne.

— Taka to jego noc poślubna — w cyrkule — uśmiechnął się złośliwie Andrzej Nikolajewicz, z hałasem odwrócił się leniwie na drugi bok w swem samotnem i swobodnem łóżku, myśląc:

— Wy tam się tłumcie, a ja sobie zasnę!

I to »zasnę« wyrwało mu się z piersi sykiem, jak gdyby okrzyk zwycięstwa, a było ostatnim gwoździem, jaki wbił we wieko swej trumny.

Ulica huczala dalej, więc Andrzej Nikolajewicz nakrył głowę poduszką.

Nastala cisza jak w mogile.

Na drugi dzień Andrzej Nikolajewicz dowiedział się, jakie były motywy sprzeczki na weselu Nataszy: Sergiej Koziół, w nietrzeźwym stanie powiedział, że Natasza miała kochanka, — Andrzeja Nikolajewicza, który zabrał jej to wszystko, co chciał, a potem ją porzucił. Za takie gadanie Gęsiorek zbil Koziola i tych którzy wystąpili w jego obronie, potem oni zbili jego, no i, oczywiście; — nocował w cyrkule. Dowiedziawszy się o tem, Andrzej Nikolajewicz ucieszył się, że bądź co bądź o nim była mowa, i że Natasza będzie teraz wiedziała, jak wystrzegać się wiarołomstwa, i jak to źle jest wyrzec się prawdziwej miłości; do tego czasu zdolał jakoś zapomnieć o tem, że to nie Natasza, tylko on sam dobrowolnie wyrzekł się szczęścia i prawdziwej miłości.

Andrzej Nikolajewicz poruszył się na pościeli i myślał:

— Jak to źle jest urządzonem, że nie można myśleć o tem, o czem się chce, a natomiast myśli się o czemś niepotrzebnem, głupiem i przykrem. Cztery lata minęły od chwili, gdym siedział z nią nad rzeką, a ja o tym wieczorze myślę, i jest mi to niezmiernie przykrem, tem przykrzejszem, że najzupełniej wyraźnie widzę czerwony księżyc. Bo poco tu księżyc? Gdyby tak myśleć lepiej o tem, ile jaśnie »pan« dostaje pieniędzy rocznie, potem ile to wypadnie

na godzinę, a ile na minutę; byłoby mi bardzo dobrze, i zasnąłbym z pewnością, a teraz nie sposób...

Lecz wkrótce powieki zaczęły mu ciężyc, a czerwony księżyc przemienił się się nagle w czerwoną gębę szwajcara w hrabiowskim domu.

— W którym uchu dzwoni? — pyta się, nachylając śmiesznie głowę i wylupiając oczy. Andrzej Nikolajewicz chce mu dać szóstkę, lecz nie znalazł drobnych, a to sprawiło ogromną radość Gęsiorkowi, siedzącemu tuż obok, i grającemu na harmonice.

— Słuchaj, szwajcarze, czekaj, lepiej zarznijmy go, jak prosię, — powiedział, wyciągnąwszy z kieszeni ogromny, lśniący jak srebro nóż. Andrzej Nikolajewicz rzucił się do drugiego pokoju i począł biedz. A przebiedz miał wszystkie pokoje urzędowego gmachu, a pokoi tych było okrutnie wiele, i były one puste, bo urzędnicy wyszli i wynieśli stoły. Chociaż Andrzej Nikolajewicz uczuwał przyjemną lekkość w nogach, i raczej ślizgał się po posadzce, niż biegł, jednakowoż zmęczył się, a tuż za nim, rozdzielony tylko kilkoma pokojami, biegł Gęsiorek; a kroki jego były ciężkie, tysiącem ech odbite o sklezione stropy. Nagle podłoga pod Andrzejem Nikolajewiczem zapadła się z łoskotem, a on sam leciał teraz w przepaść, coraz bliżej swej

pościeli, w której ostatecznie się obudził. Serce mu biło mocno i nierówno. W pokoiku było ciemno i tylko czworokąt okna, w które padało światło latarni, stojącej naprzeciw bogatego domu, był oświetlony żółtem światłem. Za przegrodą w mieszkaniu gospodarza płonął ogień, o czym dowodził płomień światła, płynący długą wstęgą z wąskiej szczeliny na podłogę i opasujący koniuszek starego pantofla. Nie prędko uspokoił się Andrzej Nikolajewicz po tym strasznym śnie, a gdy przyszedł do siebie zupełnie, rozpoznał w szepcie dochodzącym za przegrodką, głos gospodyni. Głos ten pełen był obawy i cierpienia, obawy, by ten, o którym była mowa, nie usłyszał tego, chociaż oddzielała ich cała ulica i gruby mur.

— To dopiero hycel, to dopiero bydlę — szeptała w dalszym ciągu. — Lepiejbyś go porzuciła i koniec!

Natasza odpowiedziała głośno i stanowczo z tak lekkim drżeniem, że go nie uchwyciła gospodyni, ani też lokator, podsłuchujący za przegrodą.

— I dokąd iść?

— Aha, trafiła kosa na kamień! — pomyślał Andrzej Nikolajewicz, przypomniawszy sobie sen.

— To nie ze mną masz do czynienia, nieboże. On ci nie sfolguje.

— A to prawda, gdzież iść właściwie? — zgodziła się gospodyni. — Oto i mój także za przekłętą wódką ginie i co zrobić?

Tu urwała, a do pokoju z dwiema blademi kobietami wkradł się niby jakiś potwór nieforemny i straszny. A potworem tym była wódka, ta moc, niszcząca biednych ludzi, której władzy nie ma kresu.

— Struję go jak szczura — tym samym głosem mówiła Natasza.

— Ej, co ty gadasz? Przecież nie dla siebie cierpisz, jeno dla dziecka, gdzie go podziejesz? Zostań na noc u nas, ja ci w kuchni zaścielę, bo mój znowu gotów marudzić. A do oka, uważasz, przyłóż miedziany grosz. On cię naprawdę skaleczył, rozbójnik... Czekał, zdaje mi się, lokator się zbudził...

— Co, ta kikimora? — spytała Natasza tak głośno, jak gdyby chciała, by ją usłyszano za przegródką.

— Oj, prawda, święta prawda — potakiwała szeptem gospodyni. — Pójdę nastawić samowar i zagotuję ci w czajniczku herbaty. To dopiero rozbójnik, potwór!

— Znów ta »kikimora«, powaryowali? — rozgniewał się Andrzej Nikolajewicz. — Czekał, poskarżę ja Fedorowi Iwanowiczowi, ten ci pokaże kikimorę. Idyotka!

Przystąpił do okna i otworzył jedną połowę.

Do pokoju wleciał ciepły wiatr, niosąc ze sobą woń wilgoci i zgnilych liści i zaszeleścił papierem na stole. Słychać było, jak skrzypi drzewo ocierając się o żelazny dach i jak pomrukuje mokra murawa. Do bogatego domu podjeżdżały raz po raz powozy, a wysiadali z nich mężczyźni w cylindrach i damy w szerokich rotundach i w białych szalach lub kapuzach na głowie. Zgarniając szlepy, wstępowały one z szelestem na ganek. Bogate drzwi rozwierały się szeroko i wyrzucały na ulicę słup białego światła, zapalającego błyski na metalowych częściach ekwipaży i uprząży. Dom stał ciągle ciemną, nieruchomą masą, lecz zdawało się, że przez ciężkie story, zasłaniające wysokie okna, przeświecają zwierciadła, a wiecznie zielone kwiaty radują się światłem, ruchem i życiem. Kilka powozów pozostało przed domem, a stangreci i woźnice, wypasieni, poważni, spoglądali dumnie z wysokości swoich kozłów na ciemne, pokrzywione domeczki.

Andrzej Nikolajewicz napił się herbaty, pięknem pismem przepisał parę rządowych aktów, poczem zaczął sposobić się do nowego snu, prześcielając pościel i gładząc poduszki. Za przegródką tymczasem Fedor Iwanowicz mruczał ze skrucą i rozpaczą:

— Oto mi głównie chodzi... tych dwu kopiejek nie mogę przecież odnaleźć.

— Oh, Jezul...

Trzeba było zamknąć okiennicę i Andrzej Nikolajewicz wyszedł w tym celu na ulicę. Powozy stały wciąż na tem samym miejscu, a tymczasem w dużym domu rozbrzmiewały przytłumione, rytmiczne dźwięki fortepianu; chwilami zaś ucichały, unoszone przez wiatr w przeciwną stronę. A czasem znowu ten sam wiatr przynosił ze sobą inne dźwięki, wyraźne w chwilach, gdy drzewo przestało skrzypieć. Dźwięki to były dziwnie melodyjne i subtelne; dziwnie smutne, a nie rodziły ich ludzkie ręce. Leciuchne, jak sam wiew wiatru, błagały o coś i łkały; to zamilkły nagle w żalonym jęku, to znowu wyrzucały w przestwory tony gniewne i grożące. Zda się, czyjaś cierpiąca dusza błagała o zbawienie i życie, skarżąc się i płacząc.

— Wstrętna sztuczka! — rozgniewał się znowu Andrzej Nikolajewicz.

W tym względzie bowiem nie podzielał smaku właściciela dużego domu, a kiedy ten kazał postawić na dachu arfę eolską i wiatr zaczynał wyśpiewywać na niej swe smutne piosenki, nie mógł bynajmniej pojąć, na co potrzebne są te pieśni człowiekowi o białych zębach i jasnym uśmiechu?

— Okropnie wstrętna sztuczka! — powtórzył Andrzej Nikolajewicz i dodał zniżając głos:

Nie rozumiem, że też policya w to się nie w miesza.

Z uczuciem człowieka, ratującego się od pogoni, z całej siły zatrzasnął za sobą drzwi do kuchni i spostrzegł Nataszę, siedzącą na szerokiej ławce, a u nóg jej synalka, po samą szyję otulonego w podartą szubkę, a tylko oczy jego duże i takie same czarne jak i u matki, patrzyły na niego z widocznym przestraczem. Głowę miała pochyloną, a przez rozpięty, kra- ciasty jej kaftanik przeświecała wysoka, biała pierś; lecz Natasza jak gdyby nie uczuwając wcale wstydu, nie zasłoniła jej wcale, tylko oczy jej skierowane były w stronę tego, który wszedł.

— Wiele lat, wiele zim! — zaczął Andrzej Nikolajewicz, wodząc wzrokiem po izbie i zupełnie rozluźniony w kościach i muszkulach. — Jak się macie?

Natasza patrzyła się na niego i milczała.

— Bo ja, chwała Bogu zdrów.

Natasza milczała ustawicznie. Andrzej Nikolajewicz zastanawiał się nad tem, czy nie oświadczyć ukłonów jej małżonkowi, do czego go obowiązywała wrodzona grzeczność, lecz prędko pojął, że narazie nie było to wcale stosownem. Nataszę trzeba pocieszyć, to było aż nadto widocznem i jasnem, więc rzekł:

— Jakiego macie pięknego chłopaczka. Zdaje

się Wania, jeśli się nie mylę? To znaczy Iwan Iwanowicz. U nas jest także jeden urzędnik, który się nazywa Iwan Iwanowicz. I wogóle wiecie, kto się lubi, ten się czubi i naodwrot, a jak się przemiele, to i mąka będzie, a jakże...

Natasza milczała, ale chłopak, nieufając nie-zgrabnej osobie urzędnika, wrzasnął przeciągle:

— Matko, boję się.

— Wynoście się zaraz! — krzyknęła Natasza, a kiedy Andrzej Nikołajewicz prześliznął się jak wąż, podciągając poły szlafroka, dodała: Lezie jak »kikimora!«

— Dlaczego właśnie kikimora? — zastanawiał się Andrzej Nikołajewicz, kładąc się na spoczynek i gasząc lampę. — Takie głupie słowo nie znaczy nic. Ale bo też te kobiety są zmienne: raz miły, najdroższy, to znów kikimora! Krwista baba, nie daremnie ją Gąsiorek uczy. Dobrej nocy ci życzę, markizo Fiu-fiu!

Sztucznie się rozweselał i ironicznie wykrzywił wargi. Lecz zaledwie zablysło ostatni raz światło gasnącej zwolna lampy, a pokój otulił się gęstym mrokiem, gdy niewidoczna moc rozsunała ściany, zdarła sufit i rzuciła Andrzeja Nikołajewicza w czyste pole. Ogniste iskrzące się kręgi przecinały ciemność; jasne, wesołe płomyki gorzały i płały, a zewsząd, z daleka lub też z bliska nasuwała się na niego blada twarz Gęsiorka, z czerwoną strugą krwi, albo

krwawy, wschodzący miesiąc, to wreszcie twarz Nataszy, ta dawna, kochana. I chwyciło Andrzeja Nikołajewicza uczucie niewymownego żalu i złości na samego siebie i na swoje niedołęstwo.

— Jak to wszystko źle jest urządzone — jęczał. — Nie trzeba mi Nataszy, do dyabła z Nataszą! Tak jest, powtarzam do dyabła!

Szybko narzucił na głowę poduszkę i prawie zaraz się uspokoił. Znikły dźwięki i obrazy, nastąpiła cisza grobowa, lecz ukojna.

Z ulicy dochodziło słabe światło latarni. Powozy stały wciąż jeszcze i wciąż jeszcze spoglądali senni stangreci z wysokości swych koźłów na niskie, pokrzywione domki i leniwo ziewali, poruszając brodami. Zapomniana okiennica wciąż kołatała, a w chwilach, kiedy drzewo przestawało skrzypieć, rozlegały się żalose dźwięki arfy i skarżyły się i płakały nad życiem, nad tem bardzo biednem życiem.

WALUŚ

Waluś siedział i czytał.

Książka była bardzo duża, zaledwie dwa razy mniejsza od samego chłopaka, i miała bardzo czarne i bardzo szerokie litery, a obrazki zajmowały w niej całe stronicy. Ażeby zobaczyć pierwszą linię z góry, musiał Waluś wyciągnąć główkę poprzez cały prawie stół, stawiać kolanami na krześle i króciutkim, pulchnym palcem przytrzymywać litery, gubiące się ciągle w tłumie innych, podobnych; a znaleźć je potem było tak trudno... Wobec podobnych mozołów, nieprzewidzianych bynajmniej przez wydawców, lektura postępowała, pomimo ciekawej treści, nader powoli. Książka opowiadała pomiędzy innymi, jak to pewien bardzo mocny chłopak, zwany Bowa, chwycił innych chłopców za ręce i nogi tak silnie, że je odrywał od reszty ciała. To było i straszne i śmieszne, to też przyspieszony oddech Walka najlepiej świadczył o przejmującym go, rozkosznym uczuciu strachu, oraz oczekiwaniu jeszcze bardziej interesujących miejsc.

Lecz nagle przerwano mu lekturę: to mama weszła z jeszcze jakąś kobietą.

— To jest on właśnie! — powiedziała mama, której oczy były zaczerwienione, widocznie od płaczu, bo w rękach trzymała jeszcze zmiętą, białą, koronkową chustkę.

— Waluś, złoto ty moje! — krzyknęła nieznamoma pani i, objąwszy rękoma jego głowę, okrywała pocałunkami lica i oczy chłopaka, przyciskając do nich swe spiekle, wyschnięte wargi.

A jednak nie pieściła tak, jak mama, nie całowała tak miękko, tak gorąco, jak to mama umiała. Walek, chmurny jak noc, odbierał w milczeniu niemile mu pieszczoty, gdyż był bardzo niezadowolony, że przerwano mu czytanie tak cudnych i tak ciekawych rzeczy, a ta nieznamoma szczupła kobieta, z kościstymi palcami, na których nie było ani jednego pierścionka, nie podobała mu się wcale. Prócz tego suknie jej wydzielaly jakiś wilgotny i zgnily zapach, podczas kiedy mama zawsze woniała świeżemi perfumami. Kobieta ta zostawiła nareszcie po pewnym czasie Walka w spokoju, a gdy chłopiec ocierał usta, obrzuciła go jednym z tych bystrych, przenikliwych spojrzeń, które niejako odzwierciadlają w sobie wszystkie myśli człowieka. Krótki, ale już z zarysem przyszłego zagarbienia nosek chłopca, jego gęste, bynajmniej

nie dziecinne brwi, rysujące się ponad czarnemi i głębokimi oczami, oraz niezdecydowany wprawdzie, ale już widoczny wyraz powagi w obliczu — wszystko to budziło widocznie jakieś myśli w tej kobiecie, coś jej przypominało tak silnie, że się rozplakała. Ale nawet w płaczu nie była taką, jak mama: twarz jej pozostawała bez ruchu, a tylko łzy ściekały jej z oczu raz po raz, kropla po kropli i zanim jedna zdążyła spaść, już druga ją dopędzała.

Nagle, przestawszy płakać, spytała:

— Waluś, znasz-że ty mnie?

— Nie, nie znam.

— Przecież ja przychodziłam do ciebie. Dwa razy już przychodziłam. Nie pamiętasz?

Być może, że ona przychodziła, być może, że i dwa razy przychodziła — ale skądby Walk miał o tem wiedzieć? A zresztą to wszystko jedno, czy kiedyś przychodziła ta nieznajoma kobieta, czy nie... Tylko czytać mu przeszkadza swem ciąglem dopytywaniem się.

— Ja twoja mama, Waluś! — wykrzyknęła nagle nieznajoma kobieta.

Waluś, zdziwiony, podniósł wzrok na mamę, lecz nie było jej już w pokoju.

Alboż bywają kiedy dwie mamy naraz? — zapytał. — Ot, głupstwa gadasz.

Nieznajoma kobieta uśmiechnęła się, ale śmiech ten nie spodobał się Walkowi. Znać było,

że ona wcale nie chciała się śmiać, a zrobiła to tylko umyślnie, dla złudy.

Jakiś czas milczeli oboje.

— To ty już i czytać umiesz? A, to ładnie..

Waluś milczał.

— I jakąż ty książkę czytasz?

— O Bowie, królewiczu — objaśnił Waluś z powagą i z widocznem podkreśleniem w głosie szacunku dla dużej książki.

— Ach, to z pewnością musi być bardzo ciekawe. A możebyś zechciał opowiedzieć mi coś stamtąd — prosiła kobieta, przyczem znów starała się jak najwyszukaniej uśmiechnąć.

Ale i tym razem zadźwiewał w jej głosie ów fałszywy, sztuczny ton, który chciał być miękkim i pieszczotliwym, jak głos mamy, ale ostatecznie pozostawał szorstki i kłujący. Ten sam fałsz przebijał się i w ruchach kobiety: poruszyła się na krześle i nawet wysunęła naprzód głowę, jak gdyby przygotowana do długiego a uważnego słuchania; gdy Waluś niechętnie przystąpił do opowiadania, ona natychmiast weszła w siebie i zgasła, jak gasną kirem żalobnym osnute latarnie. Walek wstydził się sam za siebie i za Bowę, ale chcąc się okazać dobrze wychowanym i grzecznym, opowiedział naprędce koniec bajki i szybko dodał:

— Już.

— No, bądź zdrow, mój ty gołąbku, moje ty

kochanie jedyne! — powiedziała dziwna kobieta, poczem znów ją przyciskać wargi swe do twarzy chłopaka. — Ja wkrótce znowu przyjdę. Będziesz się cieszyć?

— Ależ przychodź, bardzo proszę.

I, ażeby jaknajprędzej już odeszła, dodał:

— Będzie mi bardzo przyjemnie.

Gość wyszedł niebawem, zanim jednak Waluś zdołał odszukać w książce to słowo, na którym się zatrzymał, weszła do pokoju mama i również zaczęła płakać. Dlaczego nieznojoma kobieta płakała, mogło być ostatecznie zrozumiałem — zapewne jej samej żal się zrobiło, że była taka nieznośna i nudna, — no, ale z jakiego właściwie powodu mama miała płakać?

— Słuchaj — odezwał się Waluś w zamyśleniu — nie masz pojęcia, jak mi się ta kobieta sprzykrzyła! Powiada, że ona moja mama. Czyż bywają kiedy dwie mamy u jednego chłopca?

— Nie, dziecko... Ale ona prawdę mówi: ona jest rzeczywiście twoją mamą.

— A kto ty w takim razie?

— Ja... twoja ciocia.

Odkrycie to było co prawda dość niespodziewane, lecz Walusiowi wydało się najzupełniej obojętnem, czy jego mama była ciocią, czy też mamą... Dla niego różnica ta nie miała takiego znaczenia, jakie ma dla starszych. Ale dawna mama nie rozumiała tego i zaczęła

objaśniać, czemu to się tak stało, że ona była mamą, a obecnie jest cicią. Dawno, dawno, kiedy Waluś był jeszcze całkiem maleńki...

— Jak maleńki? Taki? — i chłopiec podniósł rękę na ćwierć arszyna od stołu.

— Nie, jeszcze mniejszy.

— To chyba jak kicia? — zdziwił się niezmiernie, a radość zabłysła w jego oczach. Rozchylił zabawnie usta i podniósł brwi w górę. Myślał o białem kociątku, podarowanem mu niedawno jeszcze, które było tak małe, że mogło się całe pomieścić na miseczce.

— Tak.

Waluś zaśmiał się. Jednak ta chwilowa jego radość znikła natychmiast, a jej miejsce zajął ów charakterystyczny wyraz powagi.

Poczem z pobłażliwością starszego człowieka, zapominającego błędy młodości, zauważył:

— Jaki ja byłem wówczas śmieszny!

Otóż, kiedy Waluś był maleńki, jak kicia i śmieszny, przyniosła go ta kobieta i oddała, tak jak kicię, na zawsze. A teraz, kiedy on stał się taki duży i mądry, ona chce go odebrać.

— Chcesz do niej? — spytała się dawna mama, poczem zaczerwieniła się z radości, gdy Waluś stanowczym głosem zawołał:

— Nie, ona mi się stanowczo nie podoba! — i znowu powrócił do książki.

Waluś uważał całą sprawę za skończoną,

jednak pomylił się. Ta dziwna kobieta z twarzą suchą i bez życia, z której zda się wyszano wszystką krew, co przybyła niewiadomo skąd i tak samo gdzieś znikła bez śladu, pozostawiła jednak atmosferę trwogi i przygnębienia. Ciociamama płakała często, przyczem nieustannie pytała się Walusia, czy chce od niej pójść; wujcio-papa coś mrucał i gładził się po łysinie, z czego białe włoski na głowie stawały jeżem; a kiedy mamy nie było w pokoju, i on także zapytywał chłopca, czy chce iść do tej kobiety. Pewnego razu, wieczorem, kiedy Walus leżał już w łóżeczku, ale jeszcze nie spał, wuj i ciocia rozmawiali o nim i o owej kobiecie. Wuj mówił silnym, basowym głosem, od którego nieuchwytnie drżały kryształowe szkiełka pająka i iskrzyły się niebieskimi lub czerwonymi plomykami.

— Ty, Nastazyo Filipowna, gadasz głupstwa. Nam nie wolno oddawać dziecka, dla niego samego nie wolno nam! A zresztą, nie wiedzieć jeszcze, z jakich środków ta osoba utrzymuje się od tego czasu, odkąd ten... no, przecież wiesz do dyaska, o kim mówię... Daję głowę moją na to, że dziecko u niej zginie, zmarnieje na nic.

— Jednakże, ona go kocha, Grzesiu!...

— A czyż my go nie kochamy? Dziwne bo doprawdy te twoje sądy Nastazyo Filipowno — wygląda, jakbyś sama chciała się dziecka pozbyć.

— Ej, czy ci nie grzech?!...

— No, no, nie potrzebujesz się zaraz obrażać. Ty rozważ tę sprawę z zimną krwią, a nie gorączkowo. Jakaś tam kukulka, wierzichwostka, napłodzi bachorów i z lekkim sercem podrzuca je wam. A potem, no, proszę: oddajcie mi moje dziecię, bo mnie kochanek rzucił i ja się nudzę. Jak się to komu podoba? Na koncerta albo teatru pieniędzy nie mam, więc mi dawajcie zabawkę! Nie, moja pani, my się jeszcze potargujemy!

— Nie jesteś sprawiedliwym, Grzesiu, względem tej kobiety. Przecież ty wiesz, jaka ona chora, jaka bezdomna...

— Słuchaj, Nastazyo Filipowno, ty i świętego z cierpliwości wyprowadzić potrafisz, dali-bóg! O dziecku, toś już zapomniała? Tobie wszystko jedno, czy ono na porządnego człowieka wyjdzie, czy na jakiego chłystka? A ja głowę daję, że z niego obwiesia mi zrobią, hycła, złodzieja i... i... obwiesia!!

— Grzesiu, upamiętaj się!

— Na rany Boskie, błagam cię, ty mnie nie rozdrażniaj! Wogóle nie pojmuję, skąd u ciebie ta wieczna opozycja? »Ach, ona taka samotna« — a my niby nie samotni? Ty, kobieto bez serca i bez wszelkiej litości!... Jacys mi dyabli nadali, zem się z tobą żenił. Toż tobie kata za męża!

Kobieta bez serca rozplakała się, mąż po chwili już ją przeproszał, rezonując, że tylko »generalny dureń« może zwracać uwagę na słowa takiego niepoprawnego osła, jak on.

Po chwili uspokoiła się i zapytała:

— A cóż Taloński na to?

Grzegorz Aristarchowicz zapytał znowu:

— Skąd ty właściwie jesteś przekonana o jego mądrości? Powiada, że wszystko zależeć będzie od zapatrywania sądu. Patrzcie, nowinę powiedział: my niby to nie wiemy i bez niego, że wszystko będzie zależeć od zapatrywania sądu na całą sprawę. Pewnie, co jemu to szkodzi ludziom głowy zawracać? Żebym tylko jaką władzę miał, jabym ich wszystkich, wartogłowów!...

Tu Nastazya Filipowna przymknęła drzwi od jadalnego pokoju i końca rozmowy Waluś już nie mógł dosłyszeć, jednak długo jeszcze leżał z otwartymi oczyma i wszelkimi siłami starał się zrozumieć, coby to była za kobieta, która go chce wziąć z domu i zgubić.

Na drugi dzień czekał od samego rana, kiedy go ciocia zapyta, czy nie chce do mamy, ale ciocia nie pytała go o to wcale. Zamiast tego patrzyli teraz oboje z wujem na Walusia tak, jak gdyby on był bardzo chory i miał wkrótce umrzeć, pieścili go i znosili mu duże książki z kolorowanymi obrazkami. Nieznajoma kobieta

nie przychodziła więcej; ale Walusiowi zdawało się, że ona czatuje na niego za drzwiami i że go pochwyci, skoro tylko próg przestąpi, by go unieść w jakąś czarną, straszną otchłań, pełną potworów o paszczach ogniem ziejących. Wieczorami, kiedy Grzegorz Aristarchowicz siedział przy pracy w swoim gabinecie, a Nastazya Filipowna coś cerowała lub kładła pasyanse, Waluś czytywał swoje książki, których linie stawały się coraz mniejsze i coraz gęstsze. W pokoju panowała cisza, tylko przewracane kartki szeleściły, albo od czasu do czasu dolatywało z gabinetu kaszlanie wuja lub suchy zgrzyt pióra. Lampa, przysłonięta niebieskim abażurem, rzucała jaskrawe refleksy na wzorzystą, aksamitną serwetę stołu, a wgłębienia obszernego pokoju pełne były sennego, tajemniczego mroku. Stały tam duże kwiaty o dziwacznych liściach i o korzeniach na wierzch wylażących, podobnych do walczących żmij, przyczem zdawało się, że wśród nich rusza się i pelza coś potworowego i ciemnego.

Waluś czytał. Przed jego rozszerzonymi źrenicami przesuwaly się obrazy straszne, a zarazem piękne i smutne, rodzące w nim naprzemian to żal, to miłość, to bezgraniczny strach...

Waluś żałował szczerze biednej rusałeczki, która tak bardzo kochała pięknego księcia, że rzuciła się dla niego w nurty głębokiego morza.

A ksiązę nic zgoła nie wiedział o tej miłości, bo rusaleczka była niema, i ożenił się z jedną wesolą księżniczką. I były huczne gody na okręcie, muzyka grała, a jasne jego okna rzucały na fale długie, świetlane smugi — wtedy rusaleczka rzuciła się w odmęty morskie, ażeby sobie śmierć zadać... Biedna, kochana rusaleczka, taka cicha, smutna i dobra... Ale najczęściej odwiedzali Walusia źli i straszni ludziska, — były to potwory. Na błoniastych, mrocznych skrzydłach leciały one gdzieś w noc ciemną i głuchą, przecinając powietrze z sykiem i świstem; oczy ich pałały, niby żarzące węgle. A tam, w górze, otaczały ich inne podobne poczwary i teraz dopiero następowały coraz większe okropności: jakieś śmiechy, ostre i kłujące, jak stal; przeciągle świsty nietoperzowych skrzydeł, jakieś opętańcze płasy, przy rubinowo-szkarłatnem świetle pochodni, przesłaniających dymną pomroką krwawe języki swych płomieni; bluzgająca krew ludzka i toczące się, martwe, trupio-blade głowy, okolone czarnemi brodami. Wszystko to były przejawy jednego i tego samego wrogiego ludziom żywiołu, czyhającego na każdym kroku na człowieka, by go zgubić, obłądne wizye i czarowne fantazmagorye. Snuły się one wśród przestworów powietrza, kryły się popod kwiatami i szeptały coś, wskazując koszlawymi palcami na Walusia; zasadzały się

i czyhały nań poza drzwiami ciemnego pokoju, czekając, aż się ułoży spać, ażeby móżdżek we śnie nad jego głową fruwać i kołysać się. Wyglądały one z ogrodu poprzez czarne okna, płakały i wyły żałośnie wraz z wiatrem. Ostatecznie wszystkie te licha przybierały rysy owej kobiety, która przyszła niegdyś po Walusia. Mieszkanie Grzegorza Aristarchowicza odwiedzało wogóle wielu ludzi, lecz Walek nie pamiętał ich twarzy; ta zaś wrosła w jego pamięć. Twarz ta była szczupłą, mizerna, żółta, jak u trupa, uśmiechająca się cierpkim uśmiechem, rysującym w kątach ust dwie głębokie zmarszczki. Gdyby ta kobieta wzięła Walusia do siebie, umarłby napewno.

— Słuchaj — rzekł razu pewnego do swojej cioci, odrywając się od książki. — Słuchaj — powtórzył z zwykłym u siebie wyrazem skupienia myśli, rzucając spojrzenie prosto w oczy temu, do kogo mówił. — Ja ciebie będę nazywał mamą, a nie ciocią. Ty mówisz głupstwa, że ta kobieta — to moja mama. Ty jesteś mamą, ale nie ona...

— Dlaczego? — Nastazyja Filipowna zarumieniła się jak dziewczynka, którą pochwalono. Wszelako obok radości dała się odczuć w jej głosie i nieklamana obawa o Walusia. Chłopiec stał się w ostatnich czasach taki dziwny i bo-

jaźliwy, bał się spać sam w pokoju, a po nocach ustawicznie majaczył i płakał.

— Tak. Tego ci określić nie mogę. Ty idź i lepiej ojca się spytaj. On też jest ojciec, a nie żaden wujcio — odpowiedział stanowczo chłopak.

— Nie, Waluś, to niestety prawda: ona jest twoją mamą.

Waluś pomyślał chwilę i odpowiedział tonem Grzegorza Arystarchowicza:

— Nie pojmuję, doprawdy, skąd u ciebie ta wieczna opozycya!

Nastazya Filipowna zaśmiała się, ale, kładąc się spać, długo rozmawiała z mężem, który mruczał, jak turecki bęben, klnąc od lafirynd i nieponiów, a potem poszedł patrzeć razem z żoną jak Waluś śpi.

Długo i w milczeniu wpatrywali się w twarz śpiącego chłopca. Płomień świecy drżał w trzęsących się rękach Grzegorza Arystarchowicza, rzucając fantastycznie-trupią grę refleksów na twarz dziecka, nie mniej bladą od poduszek, na których spoczywała. Zdawało się, że te oczy, wyzierające z ciemnych, dużych jam pod brwiami, domagają się odpowiedzi i grożą zapowiedzią jakichś nieszczęść, a wargi krzywią się w dziwaczny, ironiczny uśmiech. Jak gdyby na tej dziecinnej głowie legło mętne odbicie owych przewrotnych a tajemniczych zmor, unoszących się ponad nią cicho i bez szelestu...

— Waluś! — szepnęła z przestraczem Nastazyja Filipowna.

Chłopiec westchnął, ale się nie poruszył, jak gdyby zapadł w sen śmierci.

— Waluś! Waluś! — przyłączył się do głosu Nastazyji Filipowny basowy głos męża.

Waluś otworzył oczy, ocienione gęstemi rzęsami, zmrużył je kilkakrotnie od nazbyt silnego światła, poczem zerwał się na kolana, blady i przestraszony. Jego wątłe, obnażone rączki legły jakby perłową koliań na szyi Nastazyji Filipowny; kryjąc głowę u jej piersi, silnie przy-mrużył oczy, jak gdyby w obawie, że one same się otworzą, i szeptał:

— Boję się, mamó, boję się!... nie odchodź!...

Noc ta była nader przykra. Kiedy Waluś zasnął wreszcie, Grzegorz Arystarchowicz dostał ataku astmy. Dławił się, a biała, wypukła pierś jego wznosiła się konwulsyjnie i opadała pod lodowymi kompresami. Dopiero nad ranem uspokoił się nieco, a zmęczona Nastazyja Filipowna zasnęła z myślą, że mąż jej nie przeżyłby utraty dziecka.

Na naradzie familijnej postanowiono wkrótce, nie dawać chłopcu tyle książek do czytania, a przyprowadzać mu częściej innych chłopców i dziewczątka do zabawy. Ale Waluś jakoś nie lubiał tych dzieci, hałaśliwych, niegrzecznych i psotnych. One łamały kwiaty, darły książki,

skakały po krzesłach i biły się, jak wypuszczone z klatki małe małpiątka, a on patrzył na nie z uczuciem niemilego zdziwienia, po chwili zaś rzekł do Nastazyi Filipowny:

— Jak mi się oni sprzykrzyli wszyscy! Wolę posiedzieć koło ciebie.

Wieczorem znowu czytał i kiedy Grzegorz Arystarchowicz, klnąc od wszystkich dyabłów te »instytucye«, co się zwa bajkami, próbował łagodnie odebrać chłopcu książkę — Waluś milczał wprawdzie, ale z uporem i wielką stanowczością przyciskał ją do piersi. Zaimprovizowany pedagog odstępował skonfundowany, aby następnie zasypywać żonę podobnemi perorami:

— I to się ma nazywać wychowanie! Nie, Nastazyo Filipowno, jak widzę, to tobie raczej koło kotów chodzić, ale nie dzieci wychowywać. Do tego doszło, że już i książek nie można chłopcu odebrać! Niema co mówić, piękny z ciebie pedagog!

Pewnego ranka, kiedy Waluś siedział z mamą przy śniadaniu, wpadł do jadalnego pokoju Grzegorz Arystarchowicz. Kapelusz zesunął mu się na bok, twarz była okrutnie spocona; już z za drzwi krzyczał:

— Przyznali nam prawo! Sąd przyznał!

Brylanty w uszach Nastazyi Filipowny zaiskrzyły się, a nożyk zadzwonił z lekka o talerz.

— Czy tylko prawdę mówisz? — spytała go, zapłonawszy purpurowym rumieńcem.

Grzegorz Arystarchowicz przybrał poważną minę, ażeby można było poznać, że prawdę mówi, ale natychmiast zapomniał o swoim zamiarze i twarz jego pokryła się całą maską wesołych zmarszczek. Potem znów połapał się, że traci powagę, że śmieje się jak żak, więc zachmurzył się, przysunął do stołu krzesło, położył na niem kapelusz, i widząc, że miejsce już przez kogoś zajęte, wziął inne krzesło. Usiadłszy, spojrział surowo na żonę, potem na Walusia, mrugnął znacząco i dopiero po takim uroczystym wstępie wyrzekł:

— A ja zawsze mówiłem, że Taloński, to mądra bestya, której »na kozie nie objedziesz«. Nie, nie, Nastazyo Filipowna, nie objedziesz, powiadam, nie radzę ci nawet próbować...

— Więc to na prawdę?

— Zawsze z ciebie taki niewierny Tomasz. Powiedziano wyraźnie: niniejszem odmawia się proście Akimowej... Pycha, bracie — zwrócił się ku Walusiu i dodał tonem urzędowym, silnie podkreślając literę »a«: »i nakłada się na nią koszta procesu...«

— Więc ta kobieta mnie już nie weźmie?

— Śmiej się, bracie, z tego! Aha, prawda, zapomniałem: przyniosłem ci przecież książki.

Grzegorz Arystarchowicz pobiegł do przed-

pokoju, ale zatrzymał go krzyk Nastazyi Filipownej: Walek w zemdleniu skłonił główkę na poręcz krzesła.

Nastąpiły szczęśliwe chwile. Zdawało się, jak gdyby w tym domu ktoś ciężko chory wyzdrowiał nagle i wszyscy poczęli lżej oddychać. Waluś zerwał swoją zażyłość z dyablami, a gdy zjeżdżały do niego małe małpki, był wśród nich najposotniejszy. Ale w najbardziej fantastyczne gry wkładał swoją zwykłą zmyślność i powagę, a kiedy bawili się w Indyan, uważał za konieczne rozebrać się prawie do naga i pomalować się czerwoną farbą. Ze względu na charakter powagi, nadany zabawie, uznał Grzegorz Arystarchowicz za rzecz bynajmniej nie uwłaczającą, przyjąć w niej czynny udział. W roli niedźwiedzia objawił zaledwie mierne zdolności, ale za to cieszył się kompletnem i zasłużonem powodzeniem w roli indyjskiego słonia. Kiedy Waluś, tajemniczy i milczący, uroczysty, jak rodzony syn bogini Kali, siedział ojcu na plecach i stukał młoteczką po jego różowej łysinie, — wówczas przypominał on rzeczywiście małe despotyczne ksiąźątko wschodnie, królujące nad ludźmi i zwierzętami.

Taloński próbował wprawdzie zwrócić uwagę Grzegorza Arystarchowicza na wyższą instancję, która może nie zgodzić się z wyrokiem sądu powiatowego, ale ten nie umiał i nie chciał

tego zrozumieć, jak może trzech sędziów nie zgodzić się z tem, co postanowiło trzech takich samych, jak oni sędziów, kiedy prawo jedno i tu i tam.

Kiedy adwokat upierał się przy swoich obawach, Grzegorz Arystarchowicz zaczynał się gniewać i jako niezbity argument wysuwał samego Talońskiego:

— Przecież pan będziesz dzisiaj w izbie? No, więc nad czem tu medytować? Nie rozumiem, Nastazyo Filipowno, żebyś choć ty przemówiła mu do sumienia!

Taloński uśmiechnął się, a Nastazyja Filipowna przymawiała mu z lekka za jego niedowiarstwo.

Mówiono też nieraz i o tamtej kobiecie, na którą nałożono koszta procesu, i zawsze przytem dołączano epitet »biedna«. Od chwili, kiedy kobiecie tej odjęto prawo odebrania dziecka, straciła ona w oczach Walusia aureolę owej instynktownej obawy, która niby mgła otulała całą jej smukłą postać — i chłopiec począł myśleć o niej zupełnie tak samo, jak o wielu innych ludziach. Słyszał on często, jak ją nazywano nieszczęśliwą, i nie mógł zrozumieć, dlaczego tak było. Ta blada twarz, z której zda się uciekła wszystka krew, stawała się w oczach jego coraz to naturalniejszą, prostszą, coraz to bliższą... Biedna kobieta zaczęła go w końcu

zaciekawiać, a przypomniawszy sobie inne biedne kobiety, o których nieraz czytał, uczuwał dla niej litość, przechodzącą prawie w czułość. Wyobrażał sobie, że ona musi być sama jedna, że siedzi w jakimś ciemnym pokoju i pewnie boi się i płacze uporczywie, bezustannie, tak jak wówczas płakała. Szkoda, że jej wtedy tak brzydko opowiedział o Bowie królewiczu...

...
...Okazało się, że trzech sędziów nie koniecznie musi się zgodzić z wyrokiem trzech takich samych sędziów: najwyższy trybunał zniósł wyrok sądu powiatowego i przyznał matce prawo do swego dziecka po krwi. Nad zażaleniem kasacyjnem przeszedł senat do porządku dziennego...

Gdy matka przyszła, ażeby wziąć Walusia do siebie, Grzegorza Arystarchowicza nie było w domu: bawił u Talońskiego i leżał w jego sypialni; tylko różowa łysina Grzegorza wystawała z pod białego morza poduszek. Nastazya Filipowna nie wyszła ze swego pokoju, a pokojówka wyprowadziła stamtąd Walusia, gotowego już do drogi. Ubrany był w futerko i wysokie kalosze, w których ledwie nogami przebierał. Z pod barankowej czapeczki wyglądała blada twarz, o wyrazie chmurnym i surowym. Pod pachą trzymał książkę, tę, w której była opowieść o biednej rusałeczce.

Wysoka kobieta przycisnęła twarzyczkę syna do swej znoszonej katany i próbowała ukryć łzę.

— Jakżeś mi wyrósł, Waleczku. Ciebie już nie poznać — próbowała żartować, ale Waluś poprawił w milczeniu zasuniętą na bok głowy czapkę i wbrew zwyczajowi nie spojrzął w oczy tej, która od dzisiejszego dnia stawała się jego matką, ale patrzył na jej usta. Były one duże, ale kryły zęby piękne i dobrze zakonserwowane; dwie zmarszczki w kątach ust pozostały w tem samym miejscu, gdzie je widział Waluś i niegdyś, tylko zarysowały się od tego czasu głębiej nieco.

— Nie gniewasz się na mnie? — spytała mama, ale Waluś nie odpowiadając na pytanie odrzekł:

— No, chodźmy!

— Waluś!! — rozległ się krzyk bolesny z pokoju Nastazyi Filipowny. Ukazała się po chwili na progu we łzach cała i załamując ręce, rzuciła się ku chłopcu, upadła na kolana i zamarła w tej pozycyi, kładąc głowę na jego ramieniu; tylko brylanty drżały i przelewały się tysiącem blasków w jej miękkich uszach.

— Chodźmy, Waluś — rzekła poważnie wysoka kobieta, biorąc go za rękę. — Nie mamy co czynić wśród ludzi, którzy sprawili matce twojej tyle męki... tyle mękil!..

W głosie jej dźwięczała nuta głębokiej nie-

nawiści; zdawało się, że chciałyby nogą zdeptać klęczącą kobietę.

— Wy... bez serca! Gdybyście mogli, odebralibyście ostatnie moje szczęście, dziecko moje... — szepnęła z groźbą i szarpnąwszy Walusia z lekka za rękę, dodała:

— Chodź! Pamiętaj, nie bądź takim, jak twój ojciec, który mię opuścił...

— Uważajcież na niego! — wyłkała Nastazya Filipowna.

Sanki pobiegły szybko i bez szelestu, unosząc Walusia z tego cichego domu z jego cudnymi kwiatami, z jego tajemniczym światem baśni, bezbrzeżnym a głębokim, jak morze... Wkrótce dom zgubił się w tłumie innych podobnych do siebie, jak litery w książce i znikł wreszcie z przed oczu Walusia na zawsze. Wydało mu się, że płynęli po rzece, której brzegi rysują się świetlaną linią latarni, zlewających się w miarę oddalenia jakby w jeden szereg nanizanych na nitkę, perłowych paciorków, ale kiedy podjeżdżali bliżej, paciorki owe rozsypywały się, a między nimi tworzyły się ciemne przerwy. Wówczas zdawało się także Walusiowi, że stoją na jednym miejscu bez ruchu; i wszystko stawało się dla niego jakimś bajecznem: i on sam i słuszna kobieta, przyciskająca go kościstą ręką do swoich piersi, — i cały świat na okół. Zmarzył w rękę, w której

trzymał książkę, ale nie chciał prosić matki, by mu ją przechowała.

W malutkim pokoiku, do którego przywieziono Walusia, było gorąco i brudno. W kącie, naprzeciw dużego łóżka, stało maleńkie łóžeczko, jedno z tych, na których Waluś dawno już nie sypiał.

— Zmarzłeś? no, czekaj dziecko, zaraz napijemy się herbatki. Patrzcie no, patrzcie, jakie mój chłopczyk ma czerwone rączęta. Tak, tak, jesteście już razem. Czyś rad? Powiedz! — pytała matka wciąż z tym samym, nieładnym, wymuszonym uśmiechem człowieka, któremu w ciągu całego życia nakazywano śmiać się pod uderzeniami pałki.

Waluś, obawiając się swej szczerości, odpowiedział cichutko:

— Nie...

— Nie? A ja tobie zabawek nakupiłam. No popatrz się, tam na oknie...

Waluś podszedł do oka i zaczął oglądać zabawki.

Były to mizerne, kartonowe koniki na grubych, pokrzywionych nogach, pajac w czerwonym kołpaku, z fizyognomią idiotycznie uśmiechniętą i wreszcie mali ołowiani żołnierze, podnoszący jedną nogę, jakby na wieki zamarli w tej pozycji. Waluś od dawna już nie bawił się zabawkami i nie lubiał ich, ale przez grzeszność nie okazał tego matce.

— Tak, rzeczywiście, ładne zabawki.

Ale ona uchwyciła spojrzenie, jakie Waluś rzucił na okno i powiedziała smutnie:

— Nie wiedziałam aniółku, co ty lubisz. Trudno. Już dawno, jak kupiłam ci te zabawki.

Waluś milczał, nie wiedząc co odrzec.

— Przecież ja sama jedna, Waluś, samotna i nie mam na całym świecie nikogo, nikogo. Myślałam, że przecież ci się spodobają...

Waluś milczał. Lecz nagle twarz kobiety ściągnęła się, a łzy strumieniem potoczyły się na podłogę, a ona, jak gdyby tracąc ziemię pod nogami, rzuciła się na łóżko, które żałośnie skrzypnęło pod jej ciałem. Z pod sukni wysunęła się noga w dużym buciku, ze zrudziałą gumą i długimi uszkami. Przyciskając rękę do piersi, a drugą ściskając czoło, kobieta patrzyła gdzieś w dal błędnem, przekwitłem spojrzeniem i szeptała:

— Nie spodobały się, mój Boże, nie spodobały!...

Waluś podszedł pewnym krokiem do łóżka, położył swą pulchną rączkę na dużej głowie matki i powiedział poważnie i reżolutnie, jak to zresztą zwykł był mówić zawsze:

— Nie trzeba płakać mammo! Ja ciebie będę bardzo kochać. Zabawkami nie chcę się bawić, ale cię bardzo będę kochać. Chcesz, mamusiu, to przeczytam ci bajkę o biednej rusałeczce?...

.

W PIWNICY

<http://rcin.org.pl>

I.

Zapijał się nalogowo, stracił zajęcie i znajomych, poczem zamieszkał razem ze złodziejami i prostytutkami, żyjąc z reszty sprzedawanych potrosze lachów.

Ciało jego było chore, w znoej pracy sty-rane, strawione nawskróś alkoholem i cierpieniami, śmierć czyhała już na niego, niby ów drapieźny, szary ptak, ślepy przy słonecznym blasku, a czujny i ruchliwy w czarną noc. Za dnia kryła się ona po kątach, a wieczorami siedziała milczkiem u wezglowia łoża jego i siedziała długo, bardzo długo, a była spokojna, cierpliwa i natrętna, uprzykrzona aż do rozpacz.

Ile razy, za pierwszym przeblyskiem rannej zorzy wysuwał z pod koldry bladą, wymęczoną twarz, ze spojrzeniem szczonego zwierza, było już w pokoju pusto — on jednak nie wierzył tej zwodnej ciszy, której inni ludzie dowierzają, a śledził przenikliwie po kątach, obzierał się nagłym rzutem poza siebie, a potem, wsparty na

lokciach, pochłaniał wzrokiem długo i uważnie ginącą w oczach, szarą pomrokę odchodzącej nocy. Wówczas zwykle spostrzegał to, czego nie widzą inni: miarowe kołysanie się jakiegoś olbrzymiego, nieforemnego cielska, budzącego w nim dreszcze. Zmora ta była przeźroczyta i otulała sobą wszystkie przedmioty, które lśniły poza nią, jak gdyby za szklaną ścianą. W tej chwili opuszczał go lęk, gdyż widmo odchodziło na cały dzień, aż do następnej nocy męczarni. Wówczas omraczało mu duszę na chwilę dziwne oszolomienie: nawiedzały go niezwykle, a straszne sny. Widział raz biały pokój o białym stropie, jaśniejący magnetycznym światłem, a w nim gadzinę czarną, pelzającą z pod progu drzwi z szelestem lekkim, jakby do cichego śmiechu podobnym. Gad kładł płaską swą głowę na białe deski podłogi, i przewijając się tyśiącem pierścieni, znikał na chwilę, by znowu ukazać swój czarny spłaszczony łeb w szczelinie ponad drzwiami, i znów czarną wstęgą pelzać poprzez pokój — i tak ciągle, ciągle w nieskończoność...

Raz tylko miał sen przyjemny, i zaśmiał się. Lecz z gardła jego nie śmiech wyszedł, krzyk raczej, coś gdyby stłumione łkanie; i strasznie było słuchać tego dźwięku: zdawało się, że gdzieś w bezdennej otchłani śmieje się, i płacze naprzemiany dusza ludzka, w ciele bezwładnem, sztywnem, jak u trupa.

Stopniowo, w mglistą świadomość jego, jęły się wciskać pierwsze odgłosy budzącego się dnia: głuchy rozhovor przechodniów, dalekie zgrzyty zardzewiałych zawiasów, szelest miotły stróża, zmiatającego śnieg z pod okiennic — cały nieuchwytny chaos, splątanych z sobą dźwięków wstającego z wypoczynku miasta.

Wówczas następowało dla niego coś najstraszniejszego: jasna świadomość, że znów nowy dzień się zaczął, i że wkrótce będzie musiał wstać, by rozpocząć walkę życiową bez wiary w zwycięstwo...

Ha, może i trzeba żyć...

Odwracał się plecami do światła, narzucał na głowę koldrę tak, ażeby najmizerniejszy nawet promień nie mógł wnikać w zmęczone jego źrenice, zwijał się cały w kłębek, wciągał nogi pod samą brodę, i tak leżał długo, bojąc się najmniejszego poruszenia lub szelestu. Całą górą piętrzyła się na nim odzież, którą okrywał się przed wilgotnym chłodem piwnicy, ale nie uczuwał wcale ciężaru, a ciało jego było zimne, jak lód. Modlił się jeno do nieznanego bóstwa, by nie nadchodził dzień, i by mógł zawsze tak leżeć nieruchomo pod grudą szmat, nie odczuwając potrzeby myślenia. Starał się nieraz wmówić w siebie wszelkimi siłami, że noc jeszcze trwa. A najbardziej, najgoręcej pragnął, by ktoś cicho i niewidzialnie przystąpił do niego, przy-

łożył mu do skroni rewolwer i jednym pociśnięciem cyngla zakończył jego katusze.

Dzień wstawał, nieubłagany, szeroki, wołający do życia, i cały świat zaczynał pracować, ruszać się i myśleć. W piwnicy pierwsza budziła się stara gospodyni, Matrena, mająca dwudziestopięcioletniego kochanka, i zaczynała tłuc się po kuchni, stukać wiadrami, kręcić się pod samemi drzwiami pokoju Chiźniakowa. Chiźniaków czuł, że ta stara wiedźma się zbliża, a wówczas zacinał się w sobie i postanawiał nie odzywać się za nic w świecie, gdyby go wołać chciała. Ale ona tym razem milczała, a potem gdzieś wyszła. Po dwu godzinach budziła się reszta lokatorów, kochanek starej, Abram Pietrowicz i publiczna dziewczyna, Dunka. Pietrowicz był to wielce rafinowany i odważny złodziej, prawdziwy artysta w swoim fachu; tytułowano go też z pełnymi honorami ze względu na szacunek dla jego kunsztu, no i na coś jeszcze, o co go podejrzrywano, ale o czem zresztą nikt nie odważył się głośno mówić. Chiźniakow obawiał się najbardziej przebudzenia się tych dwojga, gdyż oboje mieli prawo wejść do niego, siąść na jego pościeli, dotykać go i przymuszać do myślenia i rozmawiać. Z Dunką zżył się jakoś, co prawda, po pijanemu, i przyrzekał nawet ożenić się z nią, a chociaż śmiała się serdecznie, i poufale klepała go po plecach —

przecież pewną była, że jest w niej zakochany »po uszy,« i dlatego patrzyła na niego z góry — ot zwykła kobieca filozofia; a była głupia, brudna i niechlujna, i często nocowała w policyi. Z Abramem Pietrowiczem Chiżniaków w trzy dni po przybyciu do tej nory całował się, pił wódkę i przysięgał mu wieczną przyjaźń.

W chwili, gdy rozległ się krzykliwy głos Abrama Pietrowicza i jego szybkie kroki dały się słyszeć tuż przy drzwiach, Chiżniaków zamarł w oczekiwaniu i jęknął nawet głośno, co mu się rzadko zdarzało, i zląkł się jeszcze bardziej. Jaskrawym obrazem przesunął mu się przed oczyma ów dzień, kiedy to raz siedzieli w ciemnym, dusznym szynku, jedną jedyną lampką źle oświetlonym, w tłumie ludzi, rozmawiających o czemś półgłosem — i szeptali równieź. Abram Pietrowicz, blady, rozgorączkowany, skarżył się mu na ciężkie warunki życia złodziejskiego i obnażył rękę aż po łokieć, potem kazał sobie obmacywać nieprawidłowo zrośniętą kość, a Chiżniaków ścisnął go i mówił:

— Ja, bo kocham złodziejski naród. To odważni ludzie — i ofiarował się pić z nim na braterstwo, chociaż już od dawna mówili sobie »ty.«

— A ja kocham ciebie, bo ty wykształcony i rozumiesz człowieka — odpowiadał Abram Pietrowicz.

— Spojrz proszę na rękę: popatrz no!

I znowu przed jego oczyma zarysowywała się biała ręka, przypominająca mu tą swoją białością coś, czego już teraz nie pamiętał, i zaczęła opanowywać go ogromna, niewysłowna tęsknota, więc Chiźniakow całował tę rękę, a Abram Pietrowicz wykrzykiwał wyzywająco i dumnie:

— Tak, bracie! Nie damy się, a choćby i zemrzeć przyszło! Hej, za nasze kawalerskie!...

.....
A potem jakieś błota i bagna, i wiry i błędnie podlatujące światła... Wówczas było przynajmniej wesoło, a teraz śmierć oto po kątach się czai, i ze wszystkich stron dzień się wdziera z swem intenzywnem nawoływaniem do życia, do działania w imię jakichś idei, do walki o byt — co wszystko razem sprawia niewymowne męki.

— Baronie, śpisz jeszcze? — spytał ironicznie z za drzwi Abram Pietrowicz, i nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał: no, to śpij, kanalio! Do Abrama Pietrowicza zachodzi dużo znajomych, i w ciągu całego dnia skrzypią drzwi wchodowe i rozlegają się grube, basowe głosy. I Chiźniakowowi zdaje się za każdym głosem, że to do niego i po niego przychodzą, więc chowa się głębiej i nadsluchuje przez jakiś czas, zanim rozpozna, do kogo głos należy. Czeka tak w nieznośnej trwodze, drżąc na całym ciele, choć już

może na całym świecie nie było nikogo, ktoby miał do niego lub po niego przyjść. Miał on niegdyś żonę, ale ta »wzięła i umarła«, jak się sam wyrażał. Dawniej miał braci i siostry, a jeszcze dawniej — zamglone wspomnienie tej, którą nazywał matką. I wszyscy oni pomarli, a jeśli kto z nich żyje jeszcze, to tak zgubiony w szerokim świecie, jak gdyby już umarł.

A i on sam wkrótce umrze. Wie o tem... Gdy dzisiaj wstanie ze swego łóża, nogi jego będą się uginać, i trząść, a ręce będą ruszać się niepewnie, dziwnie — może to już śmierć będzie...

Ale zanim ona przyjdzie, trzeba żyć, a to zadanie dla człowieka bez zdrowia, pieniędzy i woli jest nadzwyczaj męczące. Więc znów ogarnia Chiźniakowa rozpacz. Zrzuca precz kołdrę, załamuje ręce i wydaje z siebie takie przeciągle jęki, jak gdyby one przeszły przez tysiąc cierpiących piersi i dlatego stały się tak pełne, i niby aż po brzegi nalane męką nie do zniesienia.

— Otwieraj, cholero! — krzyczy za drzwiami Duńka i wali w nie kulakiem. — Bo drzwi wyłamie!

Trzęsąc się i chwiejąc, podszedł Chiźniakow do drzwi, otworzył je, i szybko, prawie upadając z nóg, ułożył się napowrót na pościeli. Duńka, już ufryzowana i napudrowana, siadła przy jego nogach, które mocno zepchnęła do ściany, sama

zaś założyła nogę na nogę i całkiem poważnie wymówiła:

— A ja do ciebie przychodzę z nowiną. Wiesz, Katia wczoraj Bogu duszę oddała.

— Ja...ka... Ka...tia...? — spytał Chiźniakow. Język jego poruszał się ciężko i ospale, jak gdyby cudzy.

— Masz go, już zapomniał — zaśmiała się Duńka. — Taka Katia, która u nas mieszkała. Jakżeś ty mógł zapomnieć, kiedy jutro dopiero tydzień, jak od nas poszła?

— Umarła?..

— No, tak, umarła, jak wszyscy.

Duńka pośliniła sobie mały palec i otarła puder z rzadkich powiek.

— Z czego?

— Ano, z tego, z czego wszyscy umierają. Cholera ją zresztą wie z czego. Mnie wczoraj powiedzieli w kawiarni. Umarła, powiadają, Katusza.

— A ty... ją kochałaś... może?

— Pewnie, żem kochała. Dziwne pytanie!

Głupie oczy Duńki patrzyły na Chiźniakowa obojętnie i tępo, a gruba noga kolysała się miarowo. Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, i starała się patrzeć na leżącego w sposób, mający go przekonać o miłości, jaką do niego żywi, dlatego zapewne przymrużyła z lekka jedno oko, i rozchyliła czerwone, zmysłowe usta.

Dzień wstał...

II.

Tego samego dnia, w sobotę, mróz był tak silny, że młodzież została zwolnioną od nauki, a wyścigi konne odłożono na następny tydzień, z obawy przeziębienia koni. Kiedy Natasza wyszła ze szpitalu położniczego, w pierwszej chwili rada była, że to już wieczór, że na wybrzeżu niema nikogo i że nikt jej nie spotka, jej dziewczyny z sześciodniowem dzieckiem na ręku. Zdawało się jej, że skoro tylko próg szpitalny przestąpi, powita ją wrzaskiem i piskiem cały tłum znajomych, w którym będzie i jej ojciec, zaśliniony paralytyk i jak gdyby całkiem ślepy, i znajomi studenci i oficerowie i koleżanki. A wszyscy oni będą wytykać ją palcami i krzyżeć: »oto jest panna, która ukończyła siedm klas gimnazjalnych, miała znajomości w sferach akademickiej młodzieży i zwykła się była czerwienić jak piwonia na każdy przypadkowy dwuznacznik. Ona to sześć dni temu porodziła dziecko, w przytulku ginekologicznym, obok innych upadłych kobiet«...

Ale wybrzeże było puste. Rozbijał się po nim swobodnie mroźny północny wiatr, wznosząc szarą chmurę śniegu, ściętego na mrozie w ostre iglice, i omraczał nią wszystko, cokolwiek tylko spotkał na swej drodze. Z jękiem i wyciem owi-

jał się wokół metalowych słupów i poręczy, lśnią-
cych blaskiem polerowanego srebra lub miedzi;
były one zimne, jak lód i bardzo samotne w tej
bezmiernej przestrzeni nadrzecznej. Tak samo
zimną i samotną, odciętą od świata i ludzi, czuła
się Natasza. Ubrana była w tę samą kataną,
w której się tak pięknie ślizgała, a którą po-
spiesznie narzuciła na siebie, wychodząc z domu,
kiedy uczuła pierwsze bóle porodowe. A wiatr
ją pochwyił w swe mroźne objęcia, i obcisnął
naokoło jej nóg cienką suknię, więc zaczęła drżeć
silnie, w obawie zamarznięcia na śmierć; wobec
tego groza tłumy pierzchła, a świat cały zda-
wał się jej jedną bezkresną, lodową pustynią,
zimną, bezludną i ciemną. Dwie gorące lzy za-
perlily się na jej powiekach i zamarzyły. Schy-
liwszy głowę, otarła oczy o bezkształtne zawi-
niątko, krępujące jej ręce i przyspieszyła kroku.
W tej chwili nie myślała ani o sobie, ani o dzie-
cku, a życie obojga zdało jej się zupełnie zby-
tecznem. Pędziły ją jedynie naprzód słowa, które
zda się zrodziły się nie w mózgu jej, lecz wy-
przedzały ją, wołając:

— Ulica Niemczynowska, drugi dom od rogu.
Ulica Niemczynowska, drugi dom od rogu.

Słów tych uczyła się przez sześć dni, leżąc
na łożu boleści i karmiąc dziecko. Znaczyły
one, że trzeba iść na ulicę Niemczynowską, gdzie
mieszka jej mleczna siostra, prostytutka, bo tylko

u niej jednej może znaleźć przytułek dla siebie i dziecka. Rok temu, kiedy jeszcze wszystko zaczynało się szczęśliwie, a ona bezustanku śmiała się i śpiewała, zaszła razu pewnego do chorej Kati, i przyniosła jej zapomogę; obecnie więc była to jedyna istota ludzka, przed którą nie potrzebowała się wstydzić.

— Niemczynowska ulica, drugi dom od rogu. Niemczynowska ulica, drugi dom od rogu.

Szła ciągle, wiatr gwizdał jej złośliwie koło uszu, a kiedy weszła na most, rzucił się jej na piersi, niby drapieżny, natrętny ptak, i żelaznemi pazurami wpijał się w jej skurczoną od mrozu twarz, poczem znów w nagłym nawrocie uciekał, spadał poza jej plecyma na kryształową tafłę rzeki, przyprószoną gdzieniegdzie śniegiem, i jeszcze raz się wznosił, szeroko rozwijając skrzydła. Natasza zatrzymała się, i bezwładnie oparła się na poręczach. Głęboko, w dole, patrzyło na nią czarne, matowe oko — mały wyrąb niezamarzłej wody, a spojrzenie jego było zagadkowe i ironiczne. A tam z przodu biegło coś i wołało:

— Niemczynowska ulica, drugi dom od rogu. Niemczynowska ulica, drugi dom od rogu!!!...

Chiźniakow, ubrany już, leżał znowu na łóżku, i pod sam nos okrył się ciepłym szynelem, jedyną rzeczą, jaka mu jeszcze w całości pozostała. W pokoiku było zimno, a po kątach i przy-

czólkach stropu namarzł soplami lód; ale on oddychał w barankowy kołnierz, i było mu ciepło i dobrze. Cały dzień wmawiał w siebie, że jutro już napewne pójdzie szukać jakiegoś zajęcia, i o coś ludzi prosić będzie, na razie jednak nie myślał o tem wcale; sprawiało mu to niewymowną rozkosz, nieco tylko maçoną każdym dochodzącym go z za ściany dźwiękiem. Leżał spokojnie, w zupełnem odrętwieniu, gdy nagle posłyszał niepewne pukanie do drzwi wchodowych. Pukanie było trwożne i przytłumione, jak gdyby kołatano drugą stroną dłoni. Pokój jego leżał najbliżej drzwi do sieni, więc podniósłszy głowę, i przysłuchując się uważnie, mógł dokładnie słyszeć, co się tam obok działo. Po chwili podeszła Matrena, drzwi skrzypnęły dwa razy i nastąpiła głucha cisza.

— Do kogo to? — ochryple zadźwięczał i bynajmniej nie zachęcająco głos Matreny, a nieznamy, cichy i załamujący się głos odpowiedział:

— Ja do Katuszy Nieczajewej... Katusza Nieczajewa, przecież, tu mieszka?

— A mieszkała. A wam jej na co?

— Mnie bardzo trzeba. Niema jej w domu? — w głosie zabłysła obawa.

— Katia umarła. No, umarła mówię — w szpitalu.

Znowu milczenie przeciągłe, tak ciężkie, że

aż Chiźniaków uczuł dotkliwy ból w szyi, której nie śmiał poruszyć, póki ludzie milczeli. Wreszcie obcy głos wymówił cicho, bezdźwięcznie.

— Bądźcie zdrowi!

Ale widocznie nieznajoma nie ruszyła się z miejsca, bo drzwi nie odzywały się wcale, a po chwili Matrena spytała:

— Cóż wy tam macie takiego. Może co dla Kati? Coś upadło na podłogę, i nieznajomy głos wypowiedział szybko, przerywany tłumionem łkaniem:

— Weźcie mi go! Weźcie, na rany Boskie. A ja... już... pójdę sobie...

— Ale co to jest?

Potem znowu długie milczenie i cichy płacz, pełen śmiertelnego znużenia i beznadziejnej rozpaczki. Zda się, czyjaś niewidzialna ręka bezwładnie przesuwająca się po strunie, mocno naciągniętej — po strunie ostatniej w drogim instrumencie, a kiedy i ona się przerwie — nazawsze zgaśnie dźwięk słodki, subtelny...

— Taście go mało co nie zadusili na śmierć! — wykrzyknęła z gniewem Matrena — taka ot do rodzenia dzieci się porywa. Czyż to tak można?! Kto widział tak spowijać! Chodźcie za mną. No, no, już dobrze, nie ma tam czego płakać, ale czy to kto widział? No, chodźcież...

Przy drzwiach nastąpiła zupełna cisza. Jeszcze chwilę Choźniaków nadśluchiwał, poczem

lecił uradowany, że to nie do niego i nie po niego przyszli, nie siląc się bynajmniej odgadnąć, co to wszystko miało znaczyć. Życzył sobie jedynie nadejścia nocy, i chciał jak najprędzej ujrzeć w szczelinie żółte światło lampy. Spokój jego począł zwolna mijać, ścisnął kurczowo zęby i starał się tłumić w sobie wciąż nasuwające się myśli; oto w przeszłości jego było błoto, upadek moralny i rozpacz — i ta sama rozpacz pozostawała na przyszłość.

Począł się już zwijać w sobie i podsuwać nogi i ręce pod tulów, gdy nagle weszła Duńka, ubrana do wyjścia w czerwoną bluzkę i z lekka pijana. Siadła z rozmachem na łóżko i podniosła wysoko ręce.

— Ach, Bożeż ty mój! — pokręciła głową i zaśmiała się. — Dzieciątko przynieśli. Takie to maleńkie, takie mizerniutkie, a wrzeszczy, nieprzymierzając, jak policaj. Dalibój, jak policaj, i to sam kapral! Zakłęła z przejęciem się i kokieteryjnie dała Choźniakowowi szcztka w nos.

— Chodź się popatrz! No cóż? Popatrzeć się tylko, nic więcej. Matrena chce go kąpać i nastawiła samowar. Abram Pietrowicz butem, jak miechem, dmucha. O — jej — jej! Parada! A dzieciątko krzyczy: ja-u ja-u!...

Duńka nadała twarzy wyraz, jaki przypuszczała, że mają dzieci i zapiszczała raz jeszcze!

— Jau — jau! Czysty policaj! Żeby mię tak szlag trafił, jeśli kłamie. No, chodź. A nie chcesz — to zdychaj, do cholery, ty zgniły śledziu... I kręcąc się wesoło, wyszła.

Po półgodzinie, chwiejąc się na osłabionych nogach, i trzymając się rękami klamki, Chiźniakow odchylił cichutko drzwi do kuchni.

— Zamykaj, bo zimna napuszczasz! — krzyknął Abram Pietrowicz. Chiźniakow zatrzasnął za sobą drzwi i obejrzał się ze skruchą, jakby chcąc kogoś przeprosić, ale że nikt na niego nie zwracał uwagi, więc uspokoił się niebawem. W kuchni gorąco było od pieca, samowaru i ludzi, a para gęstymi kłębami unosiła się i pełzała po wilgotnych ścianach. Matrena, gniewna i nasrożona, jak kwoka koło piskląt, kąpała dziecko w korycie i ocieżała, niezgrabną dłonią chlustała na nie wodę, przygadując:

— Bum-cia, bum-cia... będziemy sobie czyściutkie, będziemy białutkie... A jakże...

Czy dlatego, że w kuchni było jasno i wesoło, czy że woda była ciepła i pieściwa — dość, iż dziecko milczało i marszczyło rumianą twarzyczkę, jak gdyby chciało kichnąć. Duńka poprzez ramię Matreny zaglądała do koryta, i wybrawszy dogodną chwilę, szybko, trzema palcami bryznęła wodą na dziecko.

— Odczep się, ty! — krzyknęła starucha. —

Gdzie leziesz? I bez ciebie się wie, były i własne dzieci.

— Pewnie. Nie zawadzaj — potwierdził Abram Pietrowicz. — Dziecko, to rzecz cienka i bardzo krucha, mało kto potrafi się z niem obchodzić. Siedział on na stole i z zadowoloną miną wpatrywał się w maleńkie, różowe ciało. Dziecko poruszyło paluszkami, a Duńka w dzikim zachwycie pokręciła głową i zachichotała.

— Czysto kapral od policyi, dalibóg!

— Alboż ty widziała kiedy kaprała w korycie? — spytał Abram Pietrowicz.

Wszyscy roześmiali się; nawet Chiźniakow próbował się uśmiechnąć, ale natychmiast z przestachem stłumił na twarzy uśmiech, i oglądając się na matkę dziecka. Siedziała ona na ławce, zmęczona, odrzuciwszy w tył głowę; czarne jej oczy były podkreślone sinemi obwódkami, pozostałością po słabości i przebytych cierpieniach, przez co stały się one bardziej wyraziste i zabarwione zielonawym odcieniem; na bladych jej wargach błąkał się uśmiech jakby macierzyńskiej dumy. Ujrawszy to, Chiźniakow zaśmiał się śmiechem samotnym, spóźnionym:

— Chi — chi — chi...

I on począł się rozglądać po zebranych z jakimś nieokreślonym uczuciem. Po chwili wyjęła Matrena dziecko i zawinęła je w prześcieradło, a metamorfozę tę przyjął bachor dźwię-

cznym płaczem, lecz prędko umilkł, a Matrena odsłaniając rąbek prześcieradła, uśmiechnęła się, jakby czemś zażenowana:

— Ciało akurat takie, jak aksamity.

— Daj spróbować — poprosiła Duńka.

— Jeszcze czego!

Duńka nagle zatrzęsała się całym ciałem, poczem tupiąc nogami i wymachując rękami, szalona w swej porywczej zachciance, wykrzyknęła rozgłośnie, aż się wszyscy zadziwili:

— Daj!... Daj!... Daj!!!...

— Dajcież jej, dajcie — poczęła prosić przestraszona Natalia Władimirówna. Tak samo nagle uspokoiwszy się, z uśmiechem na ustach, Duńka ostrożnie, dwoma palcami dotknęła się karczku dziecka, a za nią, figlarnie mrużąc oczy, wyciągnął rękę ku temu różowemu ciałku i Abram Pietrowicz.

— Tak jest. Dziecko, to cienka rzecz, delikatna — powtórzył, jakby na swoje usprawiedliwienie. Ostatni popróbował Chiżniakow. Palce jego na moment namacały coś żywego, podatnego, jak plusz, a tak słabego, że palce mu jakoś dziwnie zmiękły.

I oto, wyciągnąwszy nieświadomie przed się rękę, opromienieni uśmiechem dziwnego, ekstazyicznego szczęścia, stali razem, złodziej, prostytutka i samotny, bezdomny człowiek, wobec tego maleńkiego i słabiuchnego życia, wiodącego ich

w jakąś świetlaną krainę, ni to ognik błędny na szerokim stepie, a obiecującego im coś, co było nieśmiertelne w piękności swojej. Szczęśliwa matka patrzyła na nich z dumą... a w górze, nad niskim pułapem, piętrzyły się ciężkim zwałem ubikacye górnych piąter, gdzie w wysokich, obszernych pokojach włóczyli się bogaci, nudzący się ludzie...

Przyszła noc. Przyszła zła, jak każda jej poprzedniczka, i rozsiadła się ciemnem sklepieniem nad dalekimi polami śnieżnemi, i nad zastygłymi w strachu, samotnemi gałęziami drzew, tych, co to pierwsze chwytają odbłaski wcho-dzącego słońca. Ludzie walczyli z nią mdłym światłem pochodni, ale ona, złowieszcza i przepotężna, opasała owe blade i samotne ognie czarnym pierścieniem, napępiała serca ludzkie swym mrokiem, i pogasiła w wielu z tych serc słabo tlejące się iskry.

Chizniakow nie mógł usnąć. Stuliwszy się w drobniutki kłębek, krył się przed zimnem i nocą pod miękką górą szmat i łachmanów, i płakał — bez bólu, bez wysiłku, jak płaczą ci, których serce czyste i bezgrzeszne jest, jak u dziecka. Sam siebie żałował, i oto zdawało mu się, że żałuje wraz wszystkich ludzi, i całe biedne życie ludzkie; w uczuciu tem kryła się tajemnicza i głęboka radość. Widział dziecko, które się dopiero co narodziło, i zdawało mu się,

że to on sam się urodził na nowe życie; będzie żyć długo, i życie to swoje ukocha odtąd, a to sprawiało mu taką radość, że zaśmiał się, potrząsnął okryciem nad sobą, i spytał przez lzy:

— Czego ja płaczę?

A nie znalazłszy odpowiedzi, dodał:

— Tak sobie...

I tyle głębi było w tym krótkim powiedzeniu, że nową falą gorących łez rozkołysała się rozbita pierś człowieka, którego życie było tak bardzo samotne i tak nieskończenie smutne.

U wezłowia łoża jego zasiadła bezgłośnie szara, drapieżna śmierć i czekała — spokojnie, cierpliwie, naprzykrzenie...

.....

ŚCIANA

I.

Ja i drugi trędowaty przyczolgaliśmy się ostrożnie pod same podnóże ściany i spojrzeliśmy w górę. Szczytu jej z tak bliska nie można było dosięgnąć wzrokiem; piętrzyła się w górę, dumna i gładka, rozcinając nieboskłon jak gdyby na dwie części. A nasza połowa była ciemną, szarą otchłanią, przy horyzoncie już prawie siną i trudno było rozeznąć kres ziemi a początek nieba.

Ścieśniona w objęciu ziemi z niebem, jęczała żałośnie czarna pomroka nocy, za każdym tchnieniem wypluwając z swych paszczy piekący żar piasku, co rozraniał tak boleśnie nasze rany.

— Spróbujmy przeleźć — zaproponował mi trędowaty, a głos jego był gnuśny i smrodliwy, tak jak i u mnie.

Podstawił plecy, na które natychmaist się wydrapałem, lecz ściana była jeszcze za wysoką. Jak gdyby płaz apokaliptyczny, legła na ziemskiej skorupie, padała w przepaście, wzno-

sila się na szczyty górskie, chowając głowę i ogon za horyzontem.

— Nie, nie?? Więc ją skruszmy! — wystąpił z projektem wspaniałym trędowaty.

— Dobrze, skruszmy! — zgodziłem się natychmiast.

Uderzyliśmy piersiami o ścianę, że pokryła się krwawymi plamami od naszych ran, lecz pozostawała wciąż mocną i nieruchomą. Wówczas wpadliśmy w rozpacz.

— Zabijcie nas! Zabijcie nas! — jęczyliśmy, wciąż pełzając, ale wszystkie twarze odwracały się od nas, i widzieliśmy zawsze tylko plecy, drżące od głębokiego wstrętu. W ten sposób dowlekliśmy się do pewnego głodnego. Ten siedział oparty o duży kamień i zdawało się, że nawet sam granit uczuwa ból od dotknięcia jego ostrych jak szpady łopatek. Nie miał zupełnie mięsa, tylko skóra wydawała szelest i stukwały kości przy każdym poruszeniu. Dolna warga obwisła mu bezwładnie, a z otworu ust wychodził szorstki głos:

— Je - stem gło - dny.

Rozśmialiśmy się serdecznie i ruszyliśmy w dalszą podróż. Potem spotkaliśmy czterech, którzy tańczyli. Schodzili się i rozchodzili, obejmowali się w pół i krążyli na jednym miejscu, a twarze ich były smutne, blade, wymęczone. Jeden z nich już płakał, zmęczony od ciągłego

tańca i prosił, by tamci przestali, lecz gdy drugi objął go w pól i zakręcił, począł znów schodzić się i rozchodzić, a przy każdym jego kroku spadała duża, mętna lza.

— Ja chcę także potańczyć — wystękał mój towarzysz, lecz ja pociągnąłem go dalej.

I znów była przed nami ściana, a koło niej siedziało dwóch na ziemi, z podwiniętymi pod siebie nogami. Jeden z nich co pewien przeciąg czasu uderzał w ścianę czołem i padał bez przytomności, a drugi wpatrywał się w niego poważnie, macał ręką jego czaszkę, potem ścianę i mówił, skoro tamten przychodził do przytomności:

— Jeszcze trzeba; już niewiele pozostało...

I trędowaty zaśmiał się znowu.

— Durnie, — mówił do mnie, wesóło nady mając policzki. — Durnie. Myślą, że tam jasność. Tam tak samo ciemno i tak samo pelzają trędowaci, prosząc: zabijcie nas.

— A czegoż chce ten stary? — spytałem.

— Cóż stary? Stary głupi i głuchy i ślepy. Czy kto widział otwór, który on wydłubał w ścianie? Możesz ty widział? Może ja?

Rozgniewałem się nie na żarty, uderzyłem towarzysza po pęcherzach narosłych na jego czaszce i krzyknąłem:

— A dla czegoś sam laził? Ha?

Zaplakał i obaj teraz plakaliśmy, pelzając dalej i prosząc:

— Zabijcie nas! Zabijcie nas!

Lecz twarze odwracały się ze wstrętem, i nikt nie chciał zadać nam ciosu śmiertelnego. Pięknych i mocnych przecież zabijali! Nas, to się boją tknąć. Tacy nikczemni!

II.

Nie istniał dla nas czas, nie było wczoraj, ni dziś, ni jutra. Noc nie opuszczała nas nigdy i nie odpoczywała za górami, by wrócić stamtąd rzeźką i spokojną. Dla tego snąć była taka zmęczona, ponura. I zła była ona! Zdarzało się czasem, że nie mogła znieść dłużej naszych jęków i krzyków, ni patrzeć na nasze rany, nasze nieszczęście i naszą zawziętość — a wówczas pierś jej zaczynała kipieć i kotłować ukrytym gniewem. Ryczała więc jak zwierzę więziony w klatce, któremu się rozum pomieszał i mrużyła ku nam ogniste, potworne ślepie, oświecając czarne otchłanie i przepaście i piaszczyste wydmy, ścianę dumną a nielitościwą, i biedną gromadkę drżących ludzi. Ci obejmowali ją, jak przyjaciela, błagali o łaskę i obronę, ale ona była naszym odwiecznym wrogiem. Wtenczas noc, oburzona i zgorszona naszym tchórzostwem i upodleniem, zaczynała chichotać, kołysząc się swoim szarem brzuchatem

cielskiem, a stare łyse góry podchwytywały ten szatański śmiech. Wtórowała mu i ściana, dziwnie rozbawiona, uciesznie zrzucała na nas kamyki, miażdżąc głowy i ciała. Tak bawiły się olbrzymy, nawołując się między sobą a wicher do wtóru grał im dziką melodyę, gdy tymczasem my leżeliśmy czołem w prochu i słuchaliśmy ze strachem, jak w jądrze ziemi coś się porusza i rwie się do wyzwolenia. I znów wszyscy poczęli prosić:

— Zabijcie nas!!

Lecz umierając w każdej chwili, byliśmy nieśmiertelni jak bogowie. Ustawał poryw szalonego gniewu i opętańczego rozbawienia; noc łąkała teraz łzami skruchy i oddychała ciężko, plując na nas mokrym piaskiem, jak gdyby chora. Z radością przebaczailiśmy jej, śmiało się z niej, znużonej i słabej i stawaliśmy się wesółymi jak dzieci. Słodką pieśnią zdał się nam jęk głodnego i z zazdrością śledziliśmy za tymi czterema, co to schodzili się i rozchodzili i krążyli w bezkresnych tanach.

I oto para za parą i my trędowaci zaczęliśmy się kręcić, znalazłszy sobie wprzód przyjaciółkę na pewien czas. Sprawilo nam to ogromną radość! Ja ją obejmowałem wpół, a ona się śmiała, pokazując białutkie, białutkie ząbki, a twarz miała taką różaną, taką rozjaśnioną; nadzwyczajnie to było przyjemnem!

I nie wiem, jak się to stało, lecz nagle te białutkie zęby zaczynały zgrzytać, pocałunki stawały się ukąszeniem i zaczynaliśmy się gryźć i zabijać z piskiem, w którym nie zanikła jeszcze radość. Wówczas ona, »bialutkie ząbki«, zadawała mi też przykre razy po chorej głowie, i ostrymi paznokciami wpijała się w moją pierś, docierając do samego serca — biła mnie bez przestanku, mnie biednego, tak bardzo biednego człowieka, a było to bardziej straszne, niż gniew samej nocy i ów złośliwy chichot ściany. Wówczas ja trędowny, zaczynałem płakać i drżeć ze strachu i cichutko, w tajemnicy przed światem okrywałem pocałunkami stopy ściany i błagałem ją kornie, by mnie, tylko jednego mnie wprowadziła w inny świat, gdzie niema szaleńców, mordujących się wzajem. Lecz ona nie usłuchała mej prośby, taka podła, a wtedy plwałem na nią, biłem ją kulakami i krzychałem:

— Spojrzcie na tego mordercę! Ona z was jeszcze natrzęsa się!

Ale głos mój był gnuśny, a oddech smrodliwy i nikt mnie trędownego nie chciał słuchać.

III.

Pelzaliśmy znowu ja i ten drugi trędowny, a naokoło stał się szum, a tylko czwórka owa

kręciła się ciągle, otrząsając z kurzu swoje odzienie i oblizując się z pragnienia. Byliśmy już bardzo zmęczeni, uczuwaliliśmy dotkliwy ból w całym ciele, a życie nam było ciężarem. Mój towarzysz usiadł i uderzając miarowo ręką o ziemię jęczał żałośnie, powtarzając przytem w szybkim tempie, jakby wyuczone słowa:

— Zabijcie nas. Zabijcie nas...

Szybkim poruszeniem porwaliśmy się ze swoich miejsc i rzuciliśmy się w tłum, lecz tłum się rozstąpił i nie widzieliśmy nic, prócz pleców. Klanialiśmy się plecom i prosili:

— Zabijcie nas.

Lecz plecy pozostały głuchemi na nasze prośby, jakby druga żywa ściana. Jakie to okropne nie widzieć twarzy ludzkich, tylko same plecy, nieruchome, martwe...

Niedługo potem towarzysz mnie porzucił. Zobaczył twarz, pierwszą twarz, a była ona taka sama jak i jego własna, poraniona i okropna. Była to twarz kobiety. Więc zaczął się do niej uśmiechać i obchodził ją w coraz węższych kręgach, wyginając szyję i rozprzestrzeniając smród, a ona uśmiechała się do niego także wpadłemi usty i przymykała oczy, pozbawione rzęsów.

I ci się pobrali. Na chwilę zwróciły się ku nim tysiączne spojrzenia i szczery, serdeczny śmiech wstrząsał zdrowemi ciałami, tak bardzo

byli śmieszni w tym rozkosznym flircie. I ja trędowny, śmiałem się do rozpuku; przecież to głupio żenić się, gdy się jest brzydkim i chorym.

— Idyota, — mówiłem ironicznie. — Cóż ty z nią będziesz robił?

Trędowny uśmiechnął się dumnie i odpowiedział

— Będziemy sprzedawać kamienie, spadłe ze ściany.

— A dzieci?

— Dzieci będziemy zabijać.

Znów głupota: rodzic dzieci po to, by je potem zabijać. A zresztą ona mu się wkrótce sprzeniewierzy — bestya, ma takie szelmowskie oczy...

IV.

Praca starca, — tego, który bił głową w ścianę, — została ukończoną; zbliżywszy się do nich, znalazłem go wiszącego na haku, wbitym w ścianę i jeszcze ciepłego, a towarzysza jego śpiewającego z cicha wesołą piosenkę.

— Idź i powiedz o wszystkim głodnemu — nakazałem mu, a on poszedł posłusznie, nie przestając śpiewać.

Widziałem z daleka, jak głodny porwał się z miejsca i na czworakach pospieszał ku ścia-

nie, na której kołysał się wisielec; po drodze roztrącał on wszystkich swemi szpiczastemi łokciami, śmiał się jak dziecko i szczyrzył zęby jak wilk. Tylko kawałatko nogi! Lecz spóźnił się, gdyż inni silniejsi, już go wyprzedzili. Gryząc się i szarpiąc, oblepili trupa wisielca swemi zbiedzonemi ciałami i kąsali mu nogi, cmokając lakomie i chrupiąc w zębach rozgryzionemi kośćmi. Głodnego nie puścili. Wtedy siadł on na ziemi, patrzył, jak inni jedli i oblizywał się szorstkim językiem, a z dużych jego ust wychodził szept:

— Je - stem gło - dny!

To było bardzo pocieszne; tamten umarł dla głodnego, a głodny mógł się tylko oblizać. Śmiałem się serdecznie wraz z drugim trędowatym, a żona jego pociesznie przymykała i otwierała swoje szelmowskie oczy; mrużyć ich przecież nie mogła, gdyż nie miała rzęsów.

A tamten biedaczysko jęczał tymczasem coraz to rozgłośniej:

— Gło - dny je - stem!

Nagle głos jego stał się czystym, metalicznym dźwiękiem, rozbrzmiewał z coraz większą siłą i wyrazem i uniósł się w górę, a potem odbity od ściany, leciał nad ciemne przepaście i siwe gór szczyty.

Potem zajękły tysiączne piersi jednym wściekłym wyciem; była ich taka moc, ile szarańczy

jest na pustyni, a wszyscy oni byli głodni, jak szarańcza; zdawało się, że jęk ten wydobywa się z otchłannej piersi całej ziemi, spieczonej żarem i rozwierającej szeroko kamienną swą paszczę. Niby las wysokopiennych drzew, pochylonych wiatrem, wznosiły się w górę i wyciągały ku ścianie biedne, rozmodlone ręce, a tyle w nich było rozpacz, że aż kamienie ruszały się w posadach i trwożliwie uciekały w sine, poszarpane obłoki.

Lecz ściana pozostała nadal niewzruszoną i zimną. A wówczas wszystkie oczy zwróciły się ku niej i sączyły z siebie fale ognistych promieni. Wierzyli, że przecież upadnie i odkryje nowe, lepsze światy i czekali, a w zaślepieniu swoim posunęli się tak daleko, że słyszeli prawie, jak jej kamienie trzeszczą i chwieją się, a od podstawy, aż do szczytu drży wąż kamienny, przesiąkły krwią i mózgami ludzi. Być może, że lzy w naszych oczach drżały, a my myśleliśmy, że to ona, i tem rozgłośniej rozbrzmiewał jęk naszych piersi. Ale już grała w nim nuta gniewu i wiary w blizkie zwycięstwo.

V.

I oto, co stało się wówczas. Wysoko na skałę wystąpiła stara, chuda kobieta, o wpadłych po-

liczkach, o włosach długich, pomierzwionych, podobnych do grzywy starej, głodnej wilczycy. Odzienie jej było rozdarte i obnażało żółte plecy i mizerne, obwisłe piersi, znużone macierzyńswem, piersi, które wielu dały życie. Wyciągnęła ręce ku ścianie — a wszystkie spojrzenia śledziły jej ruchy; przemówiła, a w głosie jej było tyle męki, że nawet głodny się zawstydzil i zamilkł.

— Oddaj mi dziecko moje!

Wszyscy milczeli, uśmiechali się i czekali, co ściana odrzeknie. Było tak cicho, że słyszeliśmy szelest chmur, przesuwających się ponad naszymi głowami z jednej nieskończoności w drugą, czarna noc, widocznie znużona, zasnęła także, i tylko przez sen dyszała z cicha, plując na nas piekący piasek, co rozraniał nasze rany. I po raz drugi rozległo się żądanie surowe, a gorzkie:

— Potworze, oddaj mi moje dziecko!

Uśmiech nasz był coraz zacieklejszy, coraz bardziej groźny, lecz podła ściana milczała. I znów z milczącej gromady ludzi wystąpił piękny starzec i stanął okok kobiety.

— Oddaj mi mojego syna! — wołał.

Strach nas brał, ale zarazem było nam wesoło. Uczulem w plecach dziwny dreszcz, a równocześnie muszkuły moich rąk zwarły się od przyływu jakiejś niepojętej mocy. Mój towa-

rzysz stał tuż przy mnie, uderzał mnie w bok i głośno dzwonił zębami.

I znów wyszedł z tłumu jeszcze jeden i mówił:

— Oddaj mi mego brata!

I jeszcze wyszedł jeden i wołał:

— Oddaj mi córkę moją!

I poczęli potem występować na przemiany mężczyźni i kobiety, starcy i młodzi, wyciągali przed się ręce i grozili:

— Oddaj nam naszą krew!

Wtenczas i ja trędowny, zdobyłem się na odwagę, wystąpiłem naprzód i krzyknąłem głośno i groźnie:

— Morderco, oddaj mi mnie samego!

Ale ona, — ona milczała. Taka nikczemna i chytra, udaje, że nie słyszy...

Wówczas kobieta potrząsała gniewnie chudą żółtą ręką i rzuciła w przestwór:

— Więc bądźże ty stokroć przeklętą, ty, morderczyni mojego dziecięcia!

Piękny staruszek powtórzył za nią:

— Bądź przeklętą!

I tysiącem głosów zawtórowała im cała ziemia:

— Bądź przeklętą! Przeklętą! Przeklętą!

VI.

Ciężko westchnęła przebudzona noc i niby ocean porwany przez wichry i zbitą masą wód

rzucony na skały, rozkolysał się cały świat ziemski i tysiącem wyprężonych piersi uderzył o ścianę. Wysoko, prawie pod obłoki trysnęła krwawa piana i obarwiła je purpurą, że stały się ogniste i straszne i rzuciły czerwoną zorzę na to grzmiące i rozburzone mrowisko, potwornie liczne a okrutne. Z jękiem niewysłowionego bólu, cofnął się tłum — i odsłonił ścianę, niekniętą i milczącą złowrogo. Milczenie jej było królewskim i majestatycznym; była niby królową, zrzucającą niedbale z ramion purpurowy płaszcz spływającej krwi, a końce tego płaszcza ginęły w fali spiętrzonych trupów. Jak morze po odpływie pozostawia na brzegu piaszczystym swoje tajemne żyjątka, tak i te skaleczone, zbite ciała pozostały u podnóża ściany, po odpływie ludzkiego morza.

I tak, umierając co chwila, byliśmy nieśmiertelni, jak bogowie. I znowu zakotłował potok ciał ludzkich i całą siłą rozpędu uderzył w ścianę, i znów odstąpił, i tak wiele, wiele razy, aż przyszło znużenie i nastał martwy sen i zupełna cisza.

A ja, trędowaty, byłem najbliższej ściany i widziałem dobrze, iż zaczyna się chwiać, ona, królewska, dumna i że z obawy upadku dreszcze przechodzą przez jej kamienie.

— Pada! — krzyknąłem.

— Bracia, ona pada!

— Kłamiesz, trędowaty — odpowiedzieli mi bracia.

A wówczas zacząłem ich prosić:

— Więc niechże ona stoi, ale czyż każdy trup nasz nie jest stopniem, ku jej szczytom? Nas jest ogromna moc, a życie nam cięży. Uścielmy trupami ziemię; na trupy narzucimy nowe trupy, a w ten sposób dojdziemy do szczytu. A jeśli ostanie się tylko jeden, ten ujrzy nowy świat.

Z nadzieją radośną odwróciłem się — i zobaczyłem same plecy, tłuste, leniwe, zmęczone. W wirowym tańcu kręciła się wciąż owa czwórka rozchodząc się i schodząc, a czarna noc wypływała z swych gardzieli mokry piasek, jak chora, a ściana milczała.

— Bracia! — prosiłem. — Bracia!

Lecz głos mój był gnuśny, a oddech smrodliwy, i nikt nie chciał słuchać mnie trędowatego.

Biada!... Biada!... Biada!...

ANIOŁECZEK.

I.

Bywały chwile, w których Sasza wszystkimi siłami pragnął wylamać się z pod wszelkich życiowych prawideł: a więc nie myć się wcale rano zimną wodą, po której pływają cienkie plasterki lodu, nie chodzić do gimnazyum, nie słuchać tam nieustannych złorzeczeń i groźb, i wreszcie nie uczuwać tego nieznośnego bólu w krzyżach i na całym ciele, ile razy matka każe klęczeć przez cały wieczór w kącie. A że miał trzynaście lat, i nie znał jeszcze wszystkich sposobów przecięcia nici żywota, w chwili kiedy człowiek najgoręcej tego zapragnie — chodził więc dalej do gimnazyum, i dalej klęczał po kątach; i zdawało mu się, że życie nigdy się nie skończy, i że się nic nigdy w jego formach nie zmieni. Posiadał jednak duszę nader odważną i energiczną, nie znosił więc bezkarnie żadnej obelgi, i mścił się na życiu. Dlatego bił kolegów, odpowiadał krnąbrnie przełożonym, darł w strzępy kajety i książki, i całymi dniami okłamywał naprzemian nauczycieli lub matkę; tylko

jeden ojciec stanowił tu wyjątek. Gdy w bitce rozbito mu nos, to malec rozraniał go jeszcze bardziej i wrzeszczał, nie roniąc ani jednej łzy, ale tak głośno, że wszyscy doznawali nieprzyjemnego uczucia, krzywili się i zatykali uszy. Nakrzyczawszy się właśnie tyle, ile uważał za potrzebne, zamilkł odrazu, pokazywał język, i rysował w szkolnym zeszycie własną karykaturę, jak krzyczy wobec nauczyciela, a ten zatyka sobie uszy.

Cały zeszyt zamazany był karykaturami, a najczęściej powtarzał się następujący motyw: gruba i niska kobieta biła trzcina cienkiego jak zapalka chłopca. Na dole dużemi i koszlawemi literami widniał podpis: »proś o przebaczenie, szczeniaku,« i obok odpowiedź: »nie będę prosił, choćbyś pękła«.

Przed Bożem Narodzeniem wypędzono Saszkę z gimnazyum, a gdy matka zaczęła go bić — ukąsił ją w palec. To dało mu zupełną wolność, i odtąd zaprzestał się myć rano, po całych dniach włóczył się z ulicznikami po mieście, bijąc się z każdym, kto tylko nasunął się mu pod rękę, i nie lękając się nikogo i niczego, oprócz głodu. Matka odtąd zupełnie przestała go żywić, tylko ojciec czasem chował dla niego chleb lub kartofelki. W podobnych warunkach Sasza uważał egzystencję jeszcze za dość znośną.

W piątek, w wilię Bożego Narodzenia, Sasza

jak zwykle bawił się z dziećmi na podwórzu, a gdy pociemniało, odprowadził je do mieszkań.

Z pagórków i pól, na które wychodziła jedynym krańcem uliczka, sunęła teraz szara mgła śnieżna; w niskim budynku, stojącym wpoprzek uliczki u samego jej wylotu, zapłonęły czerwone, migotliwe światła. Mróz ścisnął coraz silniej. Kiedy Sasza przechodził przez świetlny krąg, rozbłyskujący się wokół płonącej latarni, widział wówczas dyskretnie fruujące w powietrzu maleńkie śnieżynki... Trzeba było wracać do domu.

— Gdzież cię to nosiło, zatracieńcze? — porwała się na niego matka, podnosząc wysoko w kulak zwartą pięść; ale nie uderzyła. Z rękawów zakasanych powyżej łokcia, wynurzały się białe, grube ręce; twarz miała spoconą i nabrzmiałą. W chwili gdy Sasza przechodził obok matki, uczuł znajomy odór wódki. Matka pokrobała się w głowę wskazującym palcem, a że kląć nie mogła, bo nie starczyło czasu, powiedziała tylko:

— Statystyk jednym słowem! Akurat, taki jak ojculek!

Saszka obrzucił matkę spojrzeniem, pełnym pogardy, i przestąpił szybko próg, potem przeszedł za przegródkę, skąd rozległ się ciężki, chrapliwy oddech ojca, Iwana Sanowicza. Temu zawsze było zimno, więc pragnąc się zagrzać, sia-

dał na rozpalonym żarem kuchni »przypiecku,«
podpierając się na dłoniach.

— Saszka! Wiesz, Świecznikowie zaprosili
cię na święta. Przychodziła umyślnie poko-
jówka — wyszeptał.

— Ej kłamiesz? — nie dowierzał Saszka.

— Dalibóg. Ta czarownica umyślnie nic nie
mówi, a sama ci już nawet i kurtkę przygo-
towała.

— Ot, blaga — coraz to bardziej dziwił się
Saszka... Państwo Świecznikowie, ludzie zamo-
żni, niegdyś zajęli się jego wychowaniem, i za-
pisali go nawet do gimnazyum. Lecz od chwili,
gdy go z gimnazyum wydalono, zabronili mu
pokazywać się w ich domu raz na zawsze... Oj-
ciec jeszcze raz się zaklął, a Saszka głęboko się
zamyślił.

— No, możebyś się posunął trochę. Coś się
tak rozsiadł — rzekł do ojca, i skoczywszy na
krótki przypiecek, dodał:

— A do tych dyabłów tureckich wcale nie
pójde. Za tłusto będzie dla nich, żebym jeszcze
ja tam miał iść. »Zepsuty, niesforny chłopak« —
zaśpiewał przez nos. — Ot, a sami dobrzy so-
bie, do stokroć...

— Ej, Saszko, Saszko — tu ojciec ze zimna
skurczył się w mizerny klębek — nie uniesiesz
ty długo głowy na karku.

— Co masz gadać, bo doprawdy — odguknął

ze złością nietajoną Saszka. — Ot milczałbyś lepiej; a sam głupiej baby się boi. Takiś rozmazany, jak nieprzymierzając kisiel!

Ojciec nie odpowiadał, nie bronił się, tylko jeszcze bardziej się wtulał w siebie.

Przez szeroką szczelinę w górze, w tem miejscu, gdzie przegródka na łokieć nie dosięgała sufitu, płynęło słabe światło, i świetlną plamą kładło się na wysokiem czole Iwana Sanowicza, pod którem czerniały głęboko zapadłe jamy oczne. Niegdyś Iwan Sanowicz nałogowo pił wódkę, a wtenczas żona bała się i nienawidziła go. Ale odkąd zaczął pluć krwią, i nie mógł już pić więcej, odtąd zaczęła pić sama, zwolna przywykając do gorących napojów. I wtedy to mściła się za wszystkie cierpienia, doznane niegdyś od tego człowieka o wpadłej szczupłej piersi, który zazwyczaj mruczał słowa bez związku, siedząc w kompanii podobnych, długowłosych łapserdaków i obwiesiów. W przeciwieństwie do męża, była coraz zdrowszą, w miarę coraz to większego opilstwa, a kulaki jej stawały się coraz cięższymi.

Odtąd robiła, co chciała; sprowadzała sobie mężczyzn i kobiety według własnego upodobania i śpiewała z nimi wesole piosenki. A on, mąż, leżał za przegródką, milczący, skureczony w kablak, jak nawpół otworzony scyzoryk, i myślał: o niesprawiedliwości świata tego i o marności całego żywota na tym przeklętym padole.

Ktokolwiek odwiedzał czy spotykał żonę Iwana Sanowicza, zapewne słyszał nieraz gorące a nieustanne skargi na dwóch największych jej wrogów, męża i syna, którzy obaj są »skończeni obwiesie i statystycy«.

W godzinę potem matka rozmawiała mniej więcej w ten sposób z Saszką:

— A ja ci powiadam, cholero, że pójdziesz! — i przy każdym słowie Feoktista Petrowna uderzała kulakiem w stół, na którym wymyte właśnie szklanki skakały, jak opętane, dzwoniąc o siebie raz po raz.

— A ja ci zaręczam, że nie pójde — z zimną krwią odpowiadał Saszka, a kąciki ust jego ruszały się nieznacznie, zdradzając pragnienie szczyrzenia zębów. W gimnazyum za tę nawyczkę nazywano go wilczkiem.

— Ej, a zbiję cię, i jak jeszcze zbiję! — krzyczała matka.

— No cóż, spróbuj raz jeszcze!

Feoktista Petrowna wiedziała, że nie może bić syna, który zaczyna już kąsać, a jeśli go nawet i wyrzuci na ulicę, to będzie się włóczyć, i prędzej zamarznie na śmierć, niż pójdzie do Swiecznikowych; wobec podobnej niemocy, uciekla się tym razem do powagi męża.

— I to się nazywa ojciec, a pozwala synowi tak matkę obrażać, nie poszanować...

— Racya. Słuchaj, Saszko, idź, czego maru-

dzisz? — odezwał się tamten z przypiecka. — Oni cię może znów przygarną. Bo też dobre są ludziska. — Saszka uśmiechnął się dumnie. Niegdyś po urodzeniu się Saszki, ojciec jego był domowym nauczycielem u Świecznikowych i od tego czasu myślał, że są najlepszymi ludźmi pod słońcem. W tych czasach służył jeszcze w statystyce ziemskiej (gminnej). Z chwilą, kiedy ożenił się z brzemienią przez siebie córką gospodyni, u której najmował pomieszkanie — zaczął pić i doszedł do tego, że go nieraz pijanego podnoszono na ulicy i odstawiano na policyę. Świecznikowi zerwali z nim prawie zupełnie, lecz nie przestawali mu pomagać pieniędzmi.

Feoktysta Petrowna pałała gorącą nienawiścią do wszystkiego, co tylko wiązało się z przeszłością jej męża, jednakowoż dumną była z tej znajomości, i chwaliła się nią przy każdej sposobności.

— Może i mnie co z drzewka przyniesiesz, mówił ojciec w dalszym ciągu. — Chytry był — Saszka odczuwał to i nienawidził ojca za ten brak woli i kłamliwą naturę; teraz jednak żał mu się nawet zrobiło tego chorego i biednego człowieka. Przecież on już tak dawno nie miał dobrego tytoniu.

— A zresztą... — mruknął. — No dawaj kurtkę, niech tam. Guziki przyszyte? Pewnie nie?...

II.

Do salonu, w którym stało drzewko, nie wpuszczano jeszcze dzieci, więc siedziały wszystkie w pokoju dzieciennym i rozmawiały o tem i o owem. Saszka z lekceważeniem przysłuchiwała się ich naiwnym dysputom, macając ostrożnie po kieszeniach spodni złamane papierosy, które zdążył był ściągnąć z gabinetu gospodarza.

Tymczasem zbliżył się do niego najmłodszy Świecznikow, Kolcio, i ustawił się w nieruchomej pozie, wyrażającej zdziwienie, przyczem nogi przybrały kształty litery A tak, że końce bucików zwrócone były ku sobie a wskazujący palec u prawej ręki, do połowy skrył się w kąciку ust, koralowej barwy. Sześć miesięcy temu na usilne żądanie rodziców i krewnych rzucił był paskudną nawyczkę wkładania palca w usta, ale odzwyczaić się od tego całkiem, nie mógł jeszcze. Miał on białe, lniane włosy, podcięte na czole i kędziurami spadające na ramiona i plecy, miał dalej oczy jasno błękitne, zawsze szeroko otwarte, rzucające spojrzenia śmiałe, choć nieco zdziwione, i należał wogóle do rodzaju chłopców, których Saszka prześladował najdotkliwiej.

— Ty niegrecny chłopiec? — zapytał Saszkę. — Mnie miss mówiła. A ja baldzo grecny.

— Ale, naturalnie, cacany! — odpowiedział

Saszka, oglądając naprzemian aksamitne spodeńki, i koronkowy kolnierzyk marynarski.

— Chcesz stselbę? Na, masz!

Tu chłopczyk wyciągnął przed siebie strzelbę, z przywiązanym na długim sznurku korkiem. Wilczątko przycisnęło sprężynkę i celując w sam nos nie podejrzewającego podstępnie Kolcia, pociągnęło za cyngiel. Korek odbił się o nos chłopca i odskoczył, kiwając się na sznurku. Niebieskie oczy Koluśki rozwarły się jeszcze bardziej, i zaszczyły łzami. Przesunąwszy palec od ust do zaczerwienionego noska, Koluś począł mrużyć raz po raz długie rzęsy i szepnął:

— Ty nie doobly... zły chłopiec...

Do pokoju dziecinnego weszła tymczasem młoda, przystojna kobieta, z włosami gładko po obu stronach zaczesanymi i zakrywającymi zupełnie uszy. Była to siostra gospodyni, ta sama, w której ongiś kochał się ojciec Saszki.

— To ten — przemówiła do łysego pana, postępującego za nią wolnym krokiem, przyczem wskazała na Saszkę. — No, ukłońże się ładnie, Saszo, nie trzeba być przecie niegrzecznym. Ale Saszka nie uklonił się ani jej, ani łysemu panu. Przystojna dama nawet nie przypuszczała, ażeby on mógł wszystko wiedzieć. A Saszka wiedział, że biedny ojciec kochał ją, a ona poszła za innego; chociaż stało się to już po ślubie ojca, Saszka nie mógł przebaczyć jej tego przenievierstwa.

— Zła krew, trudno... — westchnęła Zofia Dymitryjewna. — A jednak, czyby nie mógł kochany Platon Michajłowicz przygarnąć go?... Mąż mówi, że dla niego rzemiosło jest o wiele stosowniejsze, niż gimnazyum. Sasza, chcesz być rzemieślnikiem?

— Nie, nie chcę — odpowiedział chłopak, usłyszawszy słowo »mąż«.

— Cóż, braciszku, chcesz może świnki pasać, he? — spytał się łagodnie łysy pan.

— Nie, dziękuję panu — obraził się Saszka.

— Więc gdzież chcesz iść? He? — Saszka nie wiedział, dokądby miał iść właściwie, więc odpowiedział po chwili namysłu:

— A zresztą, mnie wszystko jedno. Mogę i pasać świnię.

Łysy pan patrzył się z nieukrywanym zdziwieniem na oryginalnego chłopca. A gdy ten, wysuwał język, skorzystawszy z chwilowego zapatrzenia się łysego pana na jego polatane trzewiki, jakoteż z zapatrzenia się przystojnej damy na bardzo znowu połyskujące lakierki łysego pana — pan ów uczuł się w nieprzyjemny sposób rozdrażniony; spojrzawszy nagle w oczy chłopca, zauważył koniec języka, poruszający się w ustach Saszki w lewo i w prawo; ale ponieważ Zofia Dymitryjewna tego nie spostrzegła, a Saszka język czempredzej schował —

więc lysy pan pozostał dalej tylko rozdrażnionym, nie robiąc zresztą z całej sprawy użytku.

— Chcę iść do rzemiosła — zmienił zdanie, spokojniały nagle chłopiec.

Przystojna dama ucieszyła się i pomyślała zapewne o tej mocy, jaką posiada nad ludźmi stara miłość; potem westchnęła głośno.

— Nie wiem, czy tylko wakans się znajdzie — zauważył sucho pan, unikając spojrzenia Saszki i głaszcząc najeżone na czaszce włoski. — A zresztą jeszcze zobaczymy.

Tłum dzieci falował i burzył się, w niecierpliwem oczekiwaniu na drzewko. Tymczasem doświadczenie, zrobione po raz pierwszy przez dużego chłopca na strzelbie, znalazło więcej amatorów, to też coraz więcej nosków czerwieniało, a dziewczątka chichotały, przyciskając obie ręce do piersi i przeginając się całym ciałem, podczas kiedy ich rycerze, pogardzający wszelkim strachem i bólem przyjmowali raz wraz szcutki. Ale oto drzwi się rozwarły i czyjś głos wymówił:

— Chodźcie dzieci. Ale, cicho, sza!

Zawczasu wyteżając wzrok i tamując oddech, parami, z należytem skupieniem, wchodziły dzieciaki do gorejącego światłami salonu i również cicho okrażały błyskotliwą, przepyszłą choinę. Drzewko rzucało wokół silne blaski, bez cieni, na twarze z zaokrąglonemi ustecz-

kami i noskami. Chwilę jeszcze panowała cisza głębokiego zachwytu, poczem rozległ się długo tłumiony chór okrzyków rozradowania. Jedna z dziewcząt, nie mogąc inaczej wyrazić maksymalnego przyływu ekstatycznej radości, podskakiwała zawzięcie i w milczeniu na jednym miejscu; maleńka kosa, z wplecioną w nią błękitną wstążeczką, miarowo uderzała ją po plecach.

Saszka spochmurniał i spoważniał — widocznie coś niedobrego zbierało się w jego maleńkiem, zbolełem sercu. Choinka oślepiła go swoim przepychem i krzyczącym blaskiem niezliczonych świec, ale była dla niego obcą i wrogą, jak i ten cały tłum pięknych, wystrojonych dzieciaków dookoła; przez chwilę chciał nawet potrać drzewko z taką siłą, by spadło na te jasne główki. Zapchawszy się w kąt za fortepianem, Saszka mechanicznie łamał do reszty ostatnie papierosy, i myślał, że ma przecież ojca, matkę, swój dom, a tu zdaje się tak, jak gdyby on nic i nikogo nie miał, i nie wiedział, gdzie pójść. Przypomnił sobie scyzoryk, który niedawno odkupił był od kolegi i który bardzo lubił, ale scyzoryczek odmawiał już posłuszeństwa, był lichy, tępy, ze złamanem ostrzem i tylko z połową żółtej, kościanej rączki. Jutro złamie mu się ostatnie ostrze, a wtenczas nic mu nie zostanie.

Lecz nagle wążutkie oczka chłopca zaiskrzyły się blaskiem zdziwienia, a twarz jego przybrała zwykły swój wyraz bezczelności i zupełnej pewności siebie. Na gałęzi drzewka, zwróconej ku niemu, mniej oświetlonej, bo skierowanej ku kątowni salonu, zobaczył coś, czego brakło mu w obrazie jego życia i bez czego dookoła było pusto, jak gdyby ludzie otaczający ten kąt, nie byli istotami żyjącymi. Był to mianowicie woskowy aniołek, niedbale zawieszony w gęstwinie ciemnych gałęzi i jak gdyby fruujący w powietrzu. Przeźrocyste, subtelne jego skrzydelka, przypominające skrzydelka wodnych panien, drżały i trzepotały się z lekka od padającego na nich z górnych świec światła, a on cały zdawał się żyć i być przygotowanym do odlotu. Różowe rączki, z subtelnie wykończonymi paluszkami, wyciągnięte były w górę, a za nimi patrzyła się w przestrzeń główka z włosami, jak u Koli. Twarz ta miała w sobie coś innego, czego brakło twarzy Koli i wszystkim innym twarzom i rzeczom. Twarz aniolka nie jaśniała uśmiechem rozradowania, nie mglila się welonem smutku; wyryte było na niej inne uczucie, ekstazy świetności, które nie da się słowami wypowiedzieć ani myślą objąć, uczucie dostępne do uświadomienia sobie wyłącznie drugiemu, podobnemu uczuciu. Saszka nie miał pojęcia o tem, jaka to tajemna moc ciągnęła go ku aniolkowi, lecz

czuł, że go znał zawsze i że go zawsze kochał, więcej niż ojca i więcej, niż świat. Pelen trwogi, nabożności i niepojętego zachwytu, złożył Saszka ręce na piersiach, jak do modlitwy i szeptał:

— Kochany... kochany anioleczek!

Im uważniej się wpatrywał, tem bardziej znaczącym, bardziej tajemniczym stawał się dlań wyraz spojrzenia aniolecza. Był on nieskończenie niezmiernym, zgola niepodobnym do wszystkiego tego, co go otaczało. Inne zabawki, jak gdyby dumne były z tego, że wiszą na tej świetnej choinie takie strojne, podczas gdy aniolek był prawie smutny, jak gdyby bał się natrętnych krzyżących blasków dookoła, i jak gdyby umyślnie ukrył się w gęstwinie soczystej zieleni, by go nikt nie mógł spostrzedz. Dotknąć się naprzykład rękami jego misternie tkanych skrzydełek, byłoby oznaką najszaleńszej zuchwałości i nieposzanowania dla misteryjalnej świętości.

— Kochany... kochany! — szeptał Saszka.

Głowa chłopca pałała gorączką. Złożył ręce poza plecy i w pełnej gotowości do stoczenia walki na śmierć o aniolecza, przechadzał się tam i napowrót w swoim kącie za fortepianem, ostrożnymi, cichymi krokami; nie spojrzał więcej na aniołka w obawie, by nie zwrócić na niego czyjejs uwagi, ale czuł, że on jeszcze jest, że jeszcze nie uleciał. Do salonu weszła gospo-

dyni — poważna, wysoka dama z świetlną aureolą siwych włosów, zebranych wysoko nad głową. Dzieci otoczyły ją kołem, z tym samym wyrazem zachwytu na buziakach, a małeńka dziewczynka, ta która przedtem tak podskakiwała z radości, zawisła umęczona na rękach pani domu, i mrugała raz po raz sennemi oczkami. Podszedł i Saszka. W gardle uczuł ściskanie.

— Ciociu, no, ciociu — mówił jak mógł tylko grzecznie, ale głos jego i słowa były tym razem bardziej jeszcze brutalne, niż zawsze. — Cio... cioteczko!

Nie słyszała; wtenczas Saszka niecierpliwie szarpnął ją za rękaw.

— Czego chcesz? Czemu mnie ciągniesz za suknię? — zdziwiła się siwa pani.

— To niegrzecznie.

— Cio... cioteczko. Daj mi jedną rzecz z drzewka — anioleczka.

— Nie można — odpowiedziała gospodyni obojętnie, i raczej mechanicznie, niż z przekonania. — Na nowy rok będziemy rozbierać drzewko. A, swoją drogą, przecież już nie jesteś taki małeńki, więc mnie możesz nazywać po imieniu Maryą Dymitryjewną.

Saszka czuł, że leci w przepaść i chwycił się ostatniej deski ratunku.

— Ja już się będę uczył. Poprawię się — mówił szybko, jakby recytował. Ale formułka

ta, wywierająca taki dobroczynny wpływ na profesorów, na siwej pani nie zrobiła żadnego wrażenia.

— I dobrze zrobisz, kochaneczku — odpowiedziała tak samo obojętnie, wymuszenie.

Saszka podniósł głos:

— Daj aniołka.

— Ależ mówię ci, nie można! Jakże ty tego pojąć nie możesz?

Ale Saszka nie rozumiał, i kiedy dama zwróciła się ku wyjściu, Saszka poszedł za nią krok w krok, patrząc się bezmyślnie na jej czarną, szeleszczącą suknię. W jego gorączkowo pracującym mózgu, zabłysło wspomnienie jednego epizodu, który niegdyś nie omieszkał był uwiecznić w karykaturze: mianowicie przypomniał sobie, jak raz pewien student z jego klasy prosił nauczyciela o pierwszą klasę, a skoro otrzymał odpowiedź odmowną, klęknął przed nim, złożywszy ręce jak do modlitwy, dłoń do dłoni, i zapłakał. Wtenczas nauczyciel rozgniewał się, ale pierwszą klasę wkońcu »postawił«. Ponieważ był to obecnie dla Saszki ostatni środek, szarpnął ciotkę za suknię, i skoro tylko się odwróciła, upadł z hałasem i stukiem na oba kolana, złożywszy ręce w sposób wyżej wspomniany. Zapłakać niestety nie umiał.

— Czyś zwaryował! — wykrzyknęła siwa pani i spojrzała szybko dokoła.

Na jej szczęście, w gabinecie nie było nikogo. — Co tobie? Saszka trwając wciąż w pozycyi klęczącej, spojrział na nią z nienawiścią i żądał brutalnie:

— Daj aniolka!

Oczy Saszki, wlepione w twarz siwej pani i łowiące zda się z jej warg pierwsze słowo, które one wymówią, miały wyraz tak niedobry, że gospodyni pospieszyła się z odpowiedzią:

— No, już dam, dam. Ach, jakiż ty nieznośny! Pewnie, że dam ci, co tylko zechcesz i o co grzecznie prosić będziesz, ale czemu nie chcesz poczekać do nowego roku? No, wstawaj, wstawaj! A pamiętaj także i o tem — dodała poważnie — nigdy nie padaj na kolana, to poniża godność człowieka. Na kolana upada się tylko przed Bogiem.

— Gadaj sobie, zdrowa — myślał Saszka, chcąc ją wyprzedzić, i nadeptując jej na szlep.

Gdy zdejmowała zabawkę, Saszka wpił się w nią oczyma, boleśnie skurczył nos, i rozstał palce. Zdawało mu się ciągle, że wysoka dama złamie aniolka.

— Piękna rzecz — rzekła pani, której widocznie żal było wykwintnej i prawdopodobnie drogiej zabawki. — Kto ją tu zawiesił? Ale, słuchaj, na co tobie tej zabawki? Przecież ty już taki duży, co będziesz z nią robić? — Tam są

książki, z rysunkami. A ja obiecałam to Koli, bo mnie bardzo prosił — kłamała umyślnie.

Męczarnie Saszki były nie do zniesienia. Konwulsyjnie zwarł zęby, i nawet, zdaje się, zgrzytnął niemi. Siwa pani najbardziej obawiała się scen, dlatego też niezwłocznie wyciągnęła do chłopca aniolka.

— No masz, masz! — prawie ze złością rzekła:

— Natrętny!

Obie ręce Saszki, któremi wziął aniolka, były sztywne, wyprężone, a jednak tak miękkie, że aniolkowi mogło się ciągle zdawać, iż lata w przestworach.

— A — ach! — wydarło się z piersi Saszki przeciągłe westchnienie, a na oczach jego wystąpiły dwie iskrzące się łezki, i zastygły tam, nieprzywykłe do światła. Powoli zbliżając do swojej piersi figurkę, nie spuszczał wzroku z twarzy gospodyni i uśmiechał się cichym, łagodnym uśmiechem, zamierając w uczuciu nadziejskiego szczęścia. Zdawaćby się mogło, że skoro tylko subtelne skrzydelka aniolka dotkną się wpadniętej piersi chłopca, dopełni się wówczas coś tak radosnego, tak promiennego, czego nigdy dotąd nie doznała ziemia smutna, grzeszna i cierpiąca.

— A — ach! — rozległ się wreszcie zamarły jęk, gdy skrzydelka aniolka musnęły po twarzy Saszkę. I wobec jaśnienia jego twarzy, zbladło

jaśnienie krzycząco strojnej choinki — i uśmiechnęła się siwa, poważna dama, i zadrgały zmarszczki na suchem obliczu лыsego pana, i zamarły w nieruchomych pozach dzieciaki, których dosięgnął powiew ludzkiego szczęścia. W tym jednym momencie spostrzegli wszyscy pewne zagadkowe podobieństwo, między tym niezgrabnym młodzieńcem, zanadto wyrośniętym z swojego ubrania — a twarzą aniołka, uduchowioną ręką nieznanego artysty.

Lecz już w następnej chwili obraz zupełnie się zmienił. Saszka skurczony, jak gotowa do skoku pantera, obrzucił mrocznym spojrzeniem otoczenie, szukając tego zuchwalca, któryby ośmielił się zabrać mu jego szczęście.

— Ja teraz pójdę do domu — powiedział cicho, torując sobie drogę w tłumie. Do ojca pójdę.

III.

Matka spała, umęczona całodzienną pracą i wypitą wódką. W maleńkim pokoiku, za przegródką, paliła się na stole kuchenna lampka, a słabe, żółte jej światło wnikało z trudnością do pokoju przez zakopcone szyby, rzucając na twarze Saszki i jego ojca dziwaczne cienie.

— Ładny, co? — pytał szeptem Saszka. Trzy-

mał aniolka w wyciągniętej na całą długość ręce i nie dawał ojcu się go dotknąć.

— Tak jest, on ma w sobie coś osobliwszego — szeptał ojciec, wpatrując się w zamyśleniu w zabawkę. Twarz jego miała ten sam wyraz radości, co i twarz syna. — Tak się zdaje — ciągnął ojciec — jak się człek patrzy, że już już poleci.

— I ja to zauważyłem! — odpowiedział chłopiec dumnie. — Myślisz może, żem ślepy? Popatrz się lepiej na skrzydła. Ostr... no, nie ruszaj!!

Ojciec odsunął rękę i ciemnym spojrzeniem rozbierał wszystkie szczegóły aniolka, gdy tymczasem Saszka szeptał z wyrzutem:

— Taką masz, bracie, paskudną nawyczkę wszystkiego się rękami dotykać. Przecież możesz złamać!

Na ścianie rysowały się potworne i nieruchome cienie dwóch pochylonych głów: jednej dużej, kudlatej, i drugiej maleńkiej i okrągłej. W dużej głowie odbywała się dziwna, męcząca, myślowa praca. Oczy bez mrużenia wpatrzone były w aniolka, który pod tem przenikliwym spojrzeniem, wyrastał do olbrzymich rozmiarów, oraz stawał się świetlanym, skrzydelka jego zaczynały się trzepotać tajemniczo, a wszystko dokoła — okopcona ściana z kłoców, stół z brudną serwetą — Saszka — wszystko zlewało się

w jedną szarą masę, której brakło światel i cieni. I zdało się oto zgubionemu człowiekowi, że usłyszał głos litości i pociechy z tamtego cudownego świata, w którym przebywał niegdyś i skąd został wygnanym na wieki. Tam niema błota, ani monottonnych zlorzeczeń, tam niema rodzącej się w zaślepieniu walki egoizmów; tam nie znają mąk człowieka, podnoszonego ze śmiechem na ulicy, bitego brutalną dłonią stróżów. Tam jest czysto, jasno i radośnie, a wszystko to, co dobre znalazło przytułek w duszy tej, którą kochał więcej, niżli życie swoje i którą utracił, zachowawszy jednakowoż dla siebie to życie w złem i w brudzie.

Woń wosku, dolatująca od zabawki, zmieszana była z nieuchwytną, aromatyczną wonią, i zdawało się oto zgubionemu człowiekowi, że główki aniolka dotykają się jej palce, któreby w nieskończoność całować pragnął, każdy z osobna, póki śmierć nie zamknie mu ust na zawsze. To było właśnie przyczyną owego pociągu do zabaweczki, dlatego ona taka jest piękna, tak szczególnie piękna, i taka kochana. Aniołek zstąpił z nieba, którem była jej dusza, i wniósł ze sobą promień jasny w wilgną, przesiąkniętą czadem komorę, i w czarną zbiedzoną duszę ludzką, duszę człowieka, któremu odjęto wszystko: i miłość, i szczęście i życie.

Tuż obok oczu, budzącego się ku chwilowemu

szcęściu człowieka, błyszczały oczka człowieka, który dopiero żyć zaczął, i one też darzyły aniołka tkliwą pieśczęcią. Dla nich także zanięła przyszłość i terażniejszość: ten ojciec, zawsze smutny i zbiedzony, i ta matka, brutalna, niezdolna, i wreszcie ciemny mrok krzywd, poniżeń, złorzeczeń i tęsknoty. Marzenia Saszki były niekształtne, mgliste, lecz tem głębiej poruszały jego duszą. Całe wszechdobro, świecące nad światem, cały głęboki żal i smutek, i nadzieję tęskniącej do Boga duszy wsiąkł w siebie anioleczek, i dlatego też rozgorzał takim miękkim, subtelnym, bajecznym światłem, i dlatego też trzepotały się bez dźwięku i szelestu jego przezroczyste skrzydelka wodnych panien.

Ojciec i syn nie widzieli się wzajemnie; na różny sposób tęskniły, plakały lub też radowały się ich chore serca. A jednak było coś wspólnego w ich uczuciu, co zlewało w jedność serca i niweczyło bezdenną przepaść, która oddziela człowieka od człowieka i robi go takim samotnym, nieszczęsnym i bezsilnym.

Ojciec, nieświadomym poruszeniem położył rękę na szyję syna, a głowa ostatniego także spoczęła mimowolnie na suchotniczej, starczej piersi.

— Czy to ona tobie dała? — wyszeptał ojciec, nieszczepiając wzroku z aniołka.

— No, a któżby inny? Pewnie, że ona.

Ojciec milczał, zamilkł i Saszka. Coś zakolało w drugiej izbie, ale ucichło po chwili, poczem zegar ścienny trwożnie i pospiesznie odzwoił: raz, dwa, trzy.

— Saszka, czy masz ty kiedy jakie sny? — spytał ojciec w zamyśleniu.

— Nie — odpowiedział Saszka.

— A właściwie, to raz śniłem tak: z dachu leciałem. Łaziliśmy za gołębiami, a ja się potknąłem i zleciałem.

— Bo ja zawsze coś śnię. Cudne bywają sny. Widzisz wszystko, co już było, kochasz i cierpisz, jak na jawie...

Zamilkł znowu, i Saszka poczuł, jak zadrżała ręka, leżąca na jego plecach. Przyciskała się do niego coraz mocniej, drżała coraz bardziej, a czujna cisza nocy została nagle przerwana rozpaczem, długo wstrzymywanem łkaniem. Saszka poruszył śmiesznie brwiami i ostrożnie, ażeby nie spłoszyć obejmującej go ciężkiej, drżącej ręki, utarł z oczu łezkę. Taki to był dziwny widok, jak duży i stary człowiek płacze.

— Ach, Saszo, Saszo — zachłysnął się ojciec — czemu to wszystko takie?

— Cóż ty robisz? — wyszeptał surowo syn. — Całkiem, ale to całkiem, jak gdybyś był małym.

— Tak, oczywiście... nie będę więcej... nie

będę... — przeproszał ojciec z żałośnym uśmiechem. — Pewnie, poco?

Poruszyła się na swojej pościeli Feoktista Petrowna. Westchnęła, splunęła i zabelkotata głośno i dziwnie naprzykrzenie: »kieliszeczek jeszcze, no, cholery, statystyki... kieli...«

Trzeba było iść spać, ale wprzód należało przygarnąć aniołka. Na ziemi nie można go zostawiać. Zawieszony więc został na niteczce, umocowanej u gzemu pieca i prezentował się teraz wspaniale na tle białych kafli. W ten sposób mogli go widzieć ciągle obaj — Saszka i ojciec. Saszka, narzuciwszy pospiesznie w kąć przeróżne lachmany, na których zwykł był sypiać, rozebrał się tak samo szybko, i położył się na plecy, by jak najprędzej zacząć patrzeć się w aniołka.

— Czegóż nie spisiz? — spytał po chwili ojciec, okrywając nogi starym paltotem, i ze wszystkich stron podgarniając pod siebie podartą koldrę.

— Nie chce się czegós. I tak już wnet wstanę...

Ledwie że dopowiedział ostatnie słowa, a już zasnął z taką szybkością, jak gdyby spadł na dno głębokiej i wzburzonej z lekka rzeki. Po chwili zasnął i ojciec. Spokój duszy i pogoda rozlały się na twarzach człowieka znużonego życiem, lecz rozbudzonego do życia znowu, i człowieka odwagi i silnej woli, który jednak dopiero żyć zaczynał...

A anioleczek, zawieszony na gorącym piecu, zaczął tajać. Lampa, nie zgaszona z umysłu przez dziecko, napelniała pokój swądem nafty i przez zakopcone szkiełko rzuciła smutne światło na obraz powolnej ruiny. Anioleczek jak gdyby się poruszył. Po różowych jego nóżkach ześlizgiwały się gęste krople i spadały na przypiecek. Do zapachu nafty przymieszał się teraz zapach stopionego wosku. Ale oto aniołek się szarpnął, jak gdyby do lotu i upadł z miękim stukiem na gorącą blachę. Ciekawy prusak przebiegł strwożony, dotknął wąsikiem złamanego skrzydelka, i popiekłszy się o niekształtną grudkę wosku, pobiegł dalej.

Przez zasłonięte okno przeświecało już dzienne, niebieskawe jaśnienie, a na podwórzu zaturkotał żelaznym czerpakiem zziębnięty »woziwoda«.

000036

SPIS RZECZY.

	Str.
Milczenie	1
Przy oknie	25
Waluś	69
W piwnicy	95
Sciana	117
Anioleczek	133



I-30.409

I

30.409